N. 43. WARSZAWA d. 16 (28) Października 1871 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

O KOBIETACH UBOGICH

PRZEZ

PANNĘ DAUBIÉ

(LA FEMME PAUVRE)

dzieło przejrzane

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dalszy ciąg).

Z téj niższości specjalnego wykształcenia kobiet i z idącéj za nią niższości zarobkowania, p. Daubié wysnuwa bolesny obraz nędzy, jakiéj ulegają robotnice, pomimo ciężkiéj 13-stu godzinnéj nieraz pracy, nędzy jakiéj zaradzić nié mogą filantropijne zakłady i usiłowania, i kończy rozdział podaniem środków, mogących jedynie leczyć te rany społeczne. „Jedyne lekarstwo, pisze, leży w utworzenin stałych i ogólnych warunków nauki i pracy, i z tego to jedynie stanowiska wskazać pragnę reformy, których zaprowadzenie niezbędnem jest dla specjalnego kształcenia kobiet, i dla urządzenia dla nich miejsca w przemyśle...

„Dla tego, aby kobiety zajęły należne im w społeczeństwie stanowisko, powinny być przedsięwzięte środki całkiem przeciwne dziś używanym. Młoda kobieta, któréj wychowanie skierowanem będzie ku użytecznym celom, wywrze niezawodnie na przyszłe pokolenie wpływ bardzo zbawienny, bo przyznajmy, że kobiety mające niezmierną moc wpływania na dziecię i mężczyznę, posiadają przed sobą ogromną pod tym względem przyszłość. Ci którzyby żądali zaniedbania wykształcenia kobiety w danym zawodzie, a przez to umniejszenia jéj zarobku, dowiedliby przez to wielkiéj nieznajomości ekonomji społecznéj; należy przeciwnie ze wszelką usilnością, wziąść się do dzieła ustanowienia wolności i równości indywidualnéj, jako niewzruszonego prawidła ustaw i obyczajów naszych.... Pewnem jest, że punktem wyjścia dla kształcenia ogółu, jest możność uczęszczania do szkół obu płciom ułatwiona. Szkoły specjalne są dopełnieniem szkół elementarnych, a jednak zbytecznie byłoby dowodzić, że specjalne kształcenie dziewcząt większemu jeszcze ulega zaniedbaniu, jak inne gałęzie ich wychowania. W ten sposób wyjaśnia się niższość zarobku kobiet poczynająca się od wieku, w którym zaczynają ciążyć na niéj skutki upośledzenia jéj płci w obec nauki, bo wiadomo przecież, że do lat 15-stu chłopcy i dziewczęta za jednaką robotę, jednaką pobierają płacę......

„Zakłady specjalne tak jak i początkowe, póty nie będą miały zupełnie rozumnych podstaw, póki nie zostaną urządzone w ten sposób, aby mogły z kolei przyjmować chłopców i dziewczęta.... W stanach Zjednoczonych specjalne kształcenie kobiet, jest tak daleko posunięte, że w małem miasteczku Scioto odbywają się publiczne kursa chemji, na które uczęszcza stale 1,000 wyrobnic...

„Specjalne kształcenie kobiet opieram na szerokich podstawach i przypuszczam obok niego, literackie a nawet artystyczne nauczanie. Najwznioślejsze przecie umysły męzkie nie gardzą studjowaniem kwestji przemysłowych; a z pomiędzy wyrobników wychodzą często znakomici pisarze; czemużby równie uzdolniona ku temu kobieta, nie miała poświęcić przemysłowi razem z pracą rąk, pracy swego doświadczenia, rozumu i serca?"

Ostatnie to zdanie swe popiera p. Daubié, faktami wziętemi z różnych gałęzi przemysłu. Tak naprzykład właściciele wielkich magazynów, niechętnie przyjmują kobiety za panny sklepowe, bo znajdują w nich za mało wyrobionego artystycznego smaku do drapowania i układania materji; w introligatorstwie czynność kobiet musi ograniczać się najczęściéj na sklejaniu prostych pudełek, za których tuzin robotnica otrzymuje 35 cent: mogąc przez dzień cały i przy najusilniejszéj pracy, zrobić ich dwa tuziny. Do innych zaś introligatorskich robót delikatniejszych, cenniejszych i wymagających od wykonawcy więcéj smaku i zręczności, kobiety nie uzdolnionemi się pokazują. W litograficznych zakładach i drukarniach, w całym Paryżu pracuje kobiet zaledwie 500, mimo ogromnego zakładów tych rozwoju, a chociaż zauważano, że roboty w nich wymagane daleko łatwiéj dopełniane być mogą przez kobiety w skutek szybkości i zręczności rąk ich giętszych od rąk męzkich, niemniéj jednak kobiety przez brak stosownego ukształcenia, zajmują w nich bardzo niskie i niełiczne miejsca. Wyroby jubilerskie mogłyby także obfitego pola pracy dostarczyć kobietom, i niegdyś widziano nawet, że gałęź ta przemysłu wyłącznie prawie przez nie obrabianą była; teraz jednak zdolne są one tylko do polerowania drogich kamieni, a inne czynności dające wyższe zarobki, są im niedostępne dla braku znajomości rysunku i mineralogji. A wszystkiemu temu dziwić się niepodobna ujrzawszy następne cyfry: rękawicznictwa na 100 mężczyzn uczy się kobiet 4; jubilerstwa na 2200 mężczyzn kobiet sto kilka; podobny stosunek zachodzi we wszystkich gałęziach rzemiosł i przemysłu.

Że kobiety bardzo często zmuszone są oddawać się pracy zadomowéj dowodzi już to, że się jéj w tak znacznéj liczbie oddają pomimo wszelkich utrudnień w wyuczaniu się rzemiosł, a następnie niskiego zarobku; skoro zaś tak jest, w interesie już społeczności leży, aby pracę jak najkorzystniéjszą dla nich uczynić, bo niedostatek materjalny pochodzący z trudności zarobkowania, najsilniéj zachwiewa moralnością publiczną.

Że znowu kobiety z natury swéj nie są niezdolnemi do spełniania prac stojących na wyższym szczeblu przemysłowéj działalności dowodzi fakt, że te które w zawodach obranych specjalnych nabywają wiadomości, pracują dobrze i zarabiają wiele, że nareszcie te nawet, które niczego się nie uczyły coś

robią i coś zarabiają. Chcąc zatem zapewnić kobiecie zdobycie przez pracę materjalnego bytu, a przez to dać pewną rękojmię moralności publicznéj i świętości rodziny, należy kształcenie przemysłowo-specjalne kobiet rozpowszechnić, ułatwić, na szerokich oprzeć podstawach a obok niego nie zaniedbywać także artystycznego i literackiego nauczania przyszłych pracownic, aby jak można najwięcéj rozwinąć władze ich myślenia ku zgłębieniu i pojmowaniu przedmiotu, jaki wyłącznie stanie się ich zajęciem.

Taką jest ogólna myśl drugiego rozdziału książki panny Daubié, najlepiéj może napisanego z pomiędzy wszystkich dzieło jéj składających. Myśl o pracy kobiet w nim zawarta, łączy się bardzo ściśle z myślą o ich wychowaniu i to właśnie stanowi głównie głębokość jego i logiczność. Bo w istocie, któż po zastanowieniu się nie przyzna, że dwie te kwestje są tak nierozerwalnie związane ze sobą, iż wzajemnie zostają względem siebie jak przyczyna względem skutku i skutek względem przyczyny.

Żądać aby kobieta nie ukształcona w danym przedmiocie specjalnie i gruntownie, pracować mogła umiejętnie i z korzyścią dla siebie materjalną i moralną, znaczy sądzić, że w głowę jéj i ręce wstąpić mogą władze jakieś nadprzyrodzone, oczekiwać cudu, aby smutną ujrzeć rzeczywistość. A znowu jak bez stosownego wychowania nie ma materjalnie i moralnie produkcyjnéj pracy, tak bez pracy w takich warunkach podejmowanéj, nie ma rękojmi dla moralności publicznéj, dla rodziny, dla godności kobiecéj, a zatem dla spokoju mężczyzny i należytego wychowania dziecka. Wychowanie, praca i moralność w logicznym porządku postępują za sobą, gdy chybione pierwsze, drugie jest niedołężne i trzecie zachwiane.

„Daremnie, pisze p. Daubié, niby pacierz za panią matką powtarzamy frazesy o obowiązkach i cnotach kobiety; niczem i nigdy nie potrafimy wyniszczyć zła społecznego, póki nie oddziałamy zbawiennie na jego przyczyny."

Po pracy ręcznéj – praca umysłowa.

W dalszym ciągu swéj książki autorka roztrząsa warunki, w których zostaje niezmiernie rozpowszechniony pomiędzy kobietami we Francji zawód nauczycielski. Nauczycielstwo siłą konieczności stało się jedyną ucieczką kobiety, popadłéj w niedostatek a szukającéj środków utrzymania się, w jakiemkolwiek przystępnem kobietom zatrudnieniu.

„Ta np. kobieta żyła w dostatku, jedynym zajęciem jéj były starania podejmowane około rodziny, gospodarstwa lub rozrywek przynoszących zabawę; wychowanie zaś posiadła takie jakie dziś najczęściéj bywa udziałem kobiet, to jest powierzchowne i niedostateczne, kobieta taka traci majątek i nagle zostaje nauczycielką.

„Inna, żona aptekarza naprzykład, przez długie lata wspólnie z mężem swym zarządzała apteką. W zarządzie tym odznaczając się umiejętnością i praktycznemi wiadomościami, trafem traci dotychczasowe położenie, i oto nie wolno jéj zrobić żadnego użytku ze zdobytéj długoletniem doświadczeniem wiedzy, i chcąc nie chcąc widzi się ona zmuszoną do nauczenia się gramatyki, aby módz zdobyć sobie malutki los na téj loterji jaką przedstawia nauczycielstwo, a społeczność przekłada tysiąc razy posiadać w swem łonie guwernantkę bez uczennic i chleba, niż podobny potwór jak kobietę—aptekarza.

„Tamta znowu była kobietą światową i niczem więcéj. Umiała tylko szczebiotać i zachwycająco bawić gości w salonie. Zubożała — co ma czynić?

„Niech zostanie nauczycielką!

„A tamta jeszcze jest matką rodziny; przed chwilą dopiero utraciła męża i ojca swych dzieci i pogrążoną zostaje w cięźkiéj boleści. W obec rycerskiéj czci wyznawanéj przez społeczność, dla rodziny i domowego ogniska, ta kobieta co ma czynić?

„Niech zostanie nauczycielką!

„Ale — jeśli w zawodzie tym nie znajduje zajęcia? jeśli praca wczoraj otrzymana, niepewną już jest dziś, straconą będzie jutro, niedostateczną pozostanie na zawsze? Jeśli w zawodzie tym przyszłość straszniejszą jeszcze przedstawia się jak teraźniejszość, co ma wtedy czynić owdowiała kobieta?

„Niech zostanie nauczycielką, raz jeszcze, niech zostanie nauczycielką! a jeśli nie znajduje uczennic wolno jéj pójść nauczać skały i dzikie ptastwo!"

W obec takiego ogólnym porządkiem rzeczy wywieranego parcia ku zawodowi nauczycielskiemu, wielce ciekawem jest przyjrzenie się warunkom materjalnego i moralnego bytu, jakie zawód ten przedstawia tak tłumnie doń cisnącym się kobietom.

Naprzód panna Daubié pokazuje nam położenie guwernantki stałéj w pensjach żeńskich, tak zwanéj pod-mistrzyni (sous-maitresse). Tu występują znowu najpotężniejsze retoryczne figury: cyfry i fakta czerpane przez autorkę z ksiąg prawodawczych i ze sprawozdań inspektorów wychowania publicznego. „Bywają pod-mistrzynie nie otrzymujące żadnéj płacy a inne otrzymują wynagrodzenie pieniężne w ilości 400, 300 lub 200 franków rocznie! W skutek tak szczupłego zarobku podmistrzynie rzadko z należną gorliwością spełniają swe obowiązki.

„Oprócz trudnéj pracy w klasach, podmistrzynie dopełniać jeszcze muszą grubych robót około mycia, czesania i ubierania uczennic, a tylko z pomiędzy nich bardzo uprzywilejowane, nie potrzebują uciekać się do ręcznych robót dokonywanych w rzadkich swobodnych chwilach i pomnażających niedostateczny ich zarobek.

„Położenie moralne tych tak ciężko pracujących kobiet, również jest przykre i upośledzone jak materjalne, a wszystko to pochodzi z tych samych przyczyn, jakie w podobnie smutny stan wtrącają robotnice zatrudnione w przemyśle."

„Kobiety nauczycielki równie jak rzemieślniczki umieją za mało, i prawodawstwo nie przedsięwzięło nic, aby im byt ułatwić i ochronić od nadużyć zwierzchniczek.

„Kilka rozporządzeń prawnych zobowiązuje podmistrzynię do umiejętności gładkiego czytania, wprawnego pisania, geografji, kaligrafji, arytmetyki, robót ręcznych, muzyki i rysunku. Z tem wszystkiem zostają one najczęściéj nieskończenie niższemi od przyjętych na się obowiązków, w razie nawet jeśli są do nich dostatecznie ukształcone, prawo nie oznacza stałéj cyfry stanowiącéj minimum ich wynagrodzenia, i pod każdym względem zostawia je na łaskę lub nie łaskę instytutorek."

Rażącą różnicę jaka w tym względzie zachodzi pomiędzy położeniem mężczyzn i kobiet, p. Daubié określa ze zwykłą sobie pełną dowcipu ironją, mającą tę jedną ujemną stronę, że przechodzi niekiedy w goryez. Pisze ona że dla nauczycieli mężczyzn, prawo przepisuje *minimum* wynagrodzenia 1,500 i 1,800 franków rocznie, a oprócz tego troskliwie strzeże ich moralnéj pozycji i materjalnych potrzeb. Tak naprzykład, mężczyzna ma zabezpieczone przez prawo pięć godzin dziennie zupełnéj od zajęć szkolnych swobody, w którym to czasie, może dawać lekcje prywatne po za szkołą, albo uczęszczać na kursa naukowe, urządzone dla ułatwienia nauczycielom umysłowéj pracy.

Nauczyciel mężczyzna ma prawo mieszkać w zakładzie do którego należy lub po za nim, według tego jak mu będzie dogodniéj, a w ostatnim razie otrzymuje oprócz rocznéj pensji, pewną summę na najęcie mieszkania i inne potrzeby życia. Potrzeby te, jeśli są zadowalniane w samym zakładzie, prawo przewidziało i zabezpieczyło bardzo nawet drobiazgowemi przepisami, które p. Daubié streszcza w następny sposób:

„Ustawa prawodawcza starannie wydobywa kości z mięsa przeznaczonego na pokarm dla nauczycieli szkół męzkich; zaleca piec to mięso sądząc, że gotowane nie przypadnie im do smaku, a tak ściśle przepisawszy rodzaj potraw, rozséła inspektorów aby niespodzianie wizytując zakłady, sprawdzali czy nauczyciele otrzymują przepisaną dozę, tojest 100 grammów mięsa. Ciż sami inspektorowie czuwają nad tem, aby wino udzielane za napój nauczycielowi nie było zmięszane z wodą, a przez obawę nadwerężenia w czemkolwiek sił i zdrowia tego ulubionego dziecięcia, téj kwitnącéj nadziei sztuk i nauk, narażają się nawet na naganę kościoła, łamiąc dla jego cielesnego pożytku tygodniowe i kwartałowe posty. Albowiem, prawo chroni nauczyciela mężczyznę od owoców i jarzyn wodnistych w dnie postne, a przepisuje mu za pokarm jaja, ryby i mączne potrawy."

„Najsurowiéj nakazanem jest przez prawo, dopełnianie względem nauczycieli mężczyzn tych wszystkich arcydrobiazgowych przepisów, mających dać im ową pożądaną *mens sana in corpore sanum*, a tak jeśli my kobiety jesteśmy słabe na umyśle i ciele nie nasza w tem wina, bo wzywam świadectwa samych panów prawodawców, iż nic takiego przedsięwziętem przez nich nie zostało, coby nam w zdrowem ciele zdrową zachować mogło duszę.

„Owszem, ludzie długo rozpatrujący się w téj kwestji uznali, że pokarm materjalny nie może być dla obu płci jednaki, tak jak być takim nie może pokarm umysłowy i moralny, że zatem jeśli mięso i wino dobrze przysługują nauczycielom mężczyznom, to kobiety nauczycielki powinny być żywione gotowanemi śliwkami, a najwłaściwszym dla nich napojem w piękności i świeżości utrzymującym ich cerę, jest przezroczysta, tyle opiewana przez poetów woda rzek i strumieni.

„I oto przypatrzmy się zostającym w jednostajnem napozór położeniu: młodemu mężczyznie i młodéj kobiecie; ostatnia fizycznie słabsza od pierwszego, tylko co oderwana od łona rodziny, oddalona od macierzyńskiéj miłości i opieki, nie mająca przed sobą tych różnych dróg działania i dorabiania się które przed mężczyzną zawsze stoją otworem: a jednak, on strzeżony — ona opuszczona, zaniedbana. Nikt się nie troszczy o to, że 12-u lub 15-u godzinna praca zbyt uciążliwą dla niéj być może, nikt nie dba oto, jakich jéj udzielają pokarmów, nikt nie dowiaduje się o tem, iż spełniać musi ona prace będące gdzieindziéj zatrudnieniem lepiéj od niéj opłacanych służących... i na tę poniżoną, zaniedbaną kobietę nikt nie zwraca uwagi.

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA

pani **Seweryny D.**

Z POWODU WYSTAWY PŁODÓW MORSKICH

W NEAPOLU.

Im głębsza tajemnica otacza jaki przedmiot, z tem większą człowiek bada go ciekawością. Do-

wodem tego tajemnicze dno morza, o którém w ostatnich czasach napisano foliały. Z jakimże to zajęciem czytamy dzieła, odkrywające ten świat dotąd nam nieznany, przed oczyma naszemi; jak chciwie przygądamy się rycinom, ukazującem nam acz niedokładnie niezliczone żyjątka ukryte wśród lasów koralowych; jakże nas zaciekawiają *Aquaria*, te ogródki podwodne pełne żywych kwiatów, miniaturowe cząstki ogromnéj całości, któréj myśl ogarnąć nie może.

Zgodnie z dzisiejszym popędem do badania dna oceanu, urządzoną zostala w Neapolu, wielka międzynarodowa wystawa płodów morskich. Wystawa to nadzwyczaj ważna dla nauki. Pomijamy tysiączne przedmioty, o których specjaliści napiszą tomy całe, a przebiegniemy te głównie, które służą do niewieściego ubrania, a właściwiéj mówiąc do stroju. Powtarzamy do stroju, gdyż ocean, jeśli szczodrze karmi ubóstwo śledziami, wyziną i sztokfiszem, jeśli milionem muszel zaspokaja głód neapolitańskich lazzaronów, uwalniając ich od konieczności pracy, za to pod względem ozdoby, dostarcza samych tylko zbytkowych przedmiotów: pereł, korali, bursztynu, szyldkretu i t. p. tem cenniejszych, że częstokroć okupowanych kosztem ludzkiego życia.

Od najgłębszéj starożytności, to co przychodziło z trudnością, co osłonięte było urokiem tajemnicy, największą miało wartość dla oświeconych ludów. Weźmy naprzykład bursztyn, przedmiot małoznaczący i powszedni odkąd brzegi Baltyku zostały udostępnione, a przecież niegdyś poszukiwany z takim trudem, dopóki wydająca go *Hyperborea*, była w wyobraźni Greków i Fenicjan, jakąś mityczną krainą, niby drugą kolchidą, tajemniczym celem wędrówek chciwych argonautów.

Bursztyn miał dla starożytnych wartość złota, w czasach kiedy złoto spoczywało jeszcze w pokładach ziemi, nietkniete ręką ludzką; kiedy przesycone niem wody rzek i potoków, przetaczały spokojnie swoje fale po skałach Iberji i Dacyi. — Z bursztynem łączyły się religijne tradycje Greków, wyobrażał on dla nich łzy Apolina, łzy wypłakane jak widać tajemniczo, kiedy bóg poezji roniąc je, szukał niedostępnych wybrzeży Wenedyjskiego morza, aby w białych jego falach, ukryć je głęboko przed oczyma śmiertelnych.

Rzecz dziwna! w mythologji nawet greckiéj, poezja wyobraża boleść. Podczas gdy inni bogowie i boginie ucztują wesoło na wyżynach Olimpu, kiedy Parki z całą swobodą przędą i przecinają nić żywota, kiedy pola Elizejskie przedstawiają się w takim uroczym blasku, a i sam nawet *Tartar* starożytnych tak daleki od grozy Dantowskiego piekła, kiedy gniew zapala wprawdzie oblicza nieśmiertelnych, ale łza nigdy nie zadrży im pod powieką, sam tylko bóg poezji, potrącając samotnie struny lutni, płacze w ciszy nad dolą świata, i zronione łzy, zaklęte w bursztyn, przekazuje w puściznę wiekom!

Piaszczyste wybrzeża naszego Baltyku, były owem miejscem wybranem w idei Greków, gdzie bóg poezji przebywał najchętniéj, znajdował tu jak widać sympatyczne echa, przywtórujące chórem czarownéj jego pieśni.

Tradycja ta nadawała szczególną wartość naszemu bursztynowi u starożytnych ludów. Woń jego najmilszą była ofiarą dla bóstw greckich, ztąd kapłanki dniem i nocą paliły go u stóp ołtarzy. To też od najdawniejszych czasów bursztyn stanowił znakomity przedmiot handlu, a ci którzy trudnili się tym handlem, ukrywali w głębokiéj tajemnicy, szczęśliwe kraje zkąd pochodził skarb drogocenny.

Pierwotna historja kraju naszego, wiele zawdzięcza badaniom o bursztynie. Podróż Pytyasza, którego przemyślni Marsylczykowie na 4-y wieki przed Chrystusem, wyprawili na Baltyk, w celu zwiedzenia tajemniczych brzegów uświęconych łzami Apolina, podróż Pytyasza powtarzamy, opisana w swoim czasie, stała się przedmiotem głębokich dociekań dla nowoczesnych uczonych. Badania nad nią, tworzą dziś osobny dział literatury historycznéj, poświadczającéj wymownie słowa że „jesteśmy mieszkańcami naszéj ziemi, od czasów niedalekich arki Noego,“ — Badania nad bursztynem rozszerzyły znakomicie nasz widnokrąg historyczny, dzięki im, starsi jesteśmy o dwa tysiące lat, niż mniemali dawniejsi dziejopisarze świata.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Powieść o Czarnobrewcu, Poema we dwóch częściach przez Juljusza Turczyńskiego. Lwów 1867 r. stron. 64.

Autor jeszcze w r. 1861 wydał *Kiejstuta*, poema dramatyczne, mające przedstawiać pasowanie się poganizmu z chrześcijaństwem, a w sześć lat później napisał *Tragedją życia*, także poema dramatyczne, i także w dwóch częściach, jak zacytowany w nagłówku poemat. O *Kiejstucie* nie wspominamy, bo nie mieliśmy sposobności go poznać, co zaś do *Tragedyi życia*, ta wiele pozostawia do życzenia, tak pod względem języka poetycznego, jako też całéj budowy swojéj. Treść piękna, ale forma nieudatna. Autor zna trudności i wymagania dramatu, i wie zarazem, ile udramatyzowanie każdemu przedmiotowi życia dodaje, dla tego utwory swoje mianuje *poematami dramatycznemi*; zasłania się tym sposobem w obec wymagań krytyki, ale z pewnością w obec samego siebie zadowolonym być nie może, bo czy poema czy dramat, czy też poema dramatyczne, jako *poezya*, wymagają pięknéj formy, w któréj plastyka epopei i życie dramatu, łączą się w harmonijną całość. Zresztą trzebaby wprzód określić, jakie autor przywiązuje znaczenie do wyrazu poema, na co miejsca nam nie staje, tymczasem zaś pośpieszamy dodać, iż *Powieść o Czarnobrewcu*, daleko szczęśliwiéj pomyślana i wykonana od *Tragedyi życia*. Autor użył tu wiersza rytmicznego, składającego się niby z pięciu trochejów, które w saméj rzeczy, jak to sam w przedmowie zauważył, bardzo często w iuną miarę przechodzą; i nie mogło być inaczéj, gdy pomimo usiłowań praktyki i dowodzeń w teoryi, język nasz z trudnością podaje się pod wiersz biały, i rym pozostanie zawsze dla niego najpiękniejszą ozdobą. W *Powieści o Czarnobrewcu* śliczne znajdujemy naśladowanie *Rękopisu Krolodworskiego* (Siemieński), *Wyprawy Igora na Połowców* (Bielowski), Rapsodyi serbskich (Mickiewicz, Zmorski i w. i.); całość czyta się przyjemnie, pokazując nam w autorze jakby prawie stronnicy, że autor studyował lud, poznał jego przesądy, obyczaje i zwyczaje, uwydatnił piękną ich stronę, i w niejednym szczególe okazał, jak szczerze przejął się ludowemi wyobrażoniami. Treść powiastki bardzo prosta: Młody chłopiec o czarnych oczach i gładkiéj twarzy pokochał ładną dziewczynę, i napieściwszy się z nią i nagruchawszy do woli, został tajemnie zabity w lesie przez mściwego wspól-zalotnika.

Fantazye p. *Mirona*. Warszawa 1870 r. Cena kop. 30.

Cienka ta książeczka, licząca zaledwie 45 stronnic, zawiera trzy utwory, będące odbitkiem z *Przeglądu tygodniowego*, a mianowicie: *Bez Boga, Ostatni sen Tassa, i Ze smutnych powieści*.

Ile razy nam przyjdzie spotkać się z nazwiskiem Mirona (pseudonym), tyle razy mimowolnie jakiegoś smutku doznajemy. Chociaż do Mirona dałoby się zastosować niejedno, cośmy w ogóle powiedzieli, w zeszłym numerze Tygodnika, o tegoczesnych poetach polskich, wszelako stanowi on nie pod jednym względem pewien wyjątek. Przeczytawszy kilka wierszy jakiegobądź jego utworu, postrzegasz siłę wyobraźni prawdziwie twórczéj. W króciutkich zwykle utworach Mirona, czujesz jakieś szarpanie się wewnętrzne, uwydatniające się w gorzkiéj ironii, jakiś przymus, czy też przedwczesne zniechęcenie, nie wiemy tego, gdyż historyi rozwoju ducha poety i wpływów pod jakiemi zostawał, nie znamy, a robimy tylko wnioski z tego, co od czasu do czasu ukazuje się po pismach peryodycznych, i to takie ułamkowe, jakby wiersze w książkę pamiątek wpisywane.

Czyliżby zapał Mirona zużywał się na kilku lub kilkunastu ekscentrycznych wierszach?

Fantazye. o których zaczęliśmy mówić, może sobie ktoś nazwać, jak mu się podoba, byle nie fantazyami. Fantazya uważana nie jako siła twórcza, bez któréj nie masz poety, ale jako forma jest tem w poezyi, czem i w muzyce. Nie można więc nazwać fantazyą zdyaologowanych kilku scen, niby z Fausta lub Manfreda, tym mniéj *Ostatniego snu Tassa*, a najmniéj (urywku) *Ze smutnych powieści*.

Jaka szkoda, że przez fałszywą życzliwość, czy też po prostu przez obojętność, krytyka nie zwróciła baczniejszéj uwagi na utwory Mirona; powtarzamy szkoda, bo i poeta i czytelnicy wiele na tem stracili.

W roku 1867 wydał Miron swoje *Pieśni*, (tytuł także konwencyonalny), które daleko wyżéj stoją od *Fantazyi*; a chociaż i tu widocznie Heine oddziaływał na poetę, znajdujemy przecież kilka prawdziwych perełek, godnych wieńca największego poety.

Jaki jest rodzaj talentu Mirona, i jaka jego przyszłość, przesądzać nie chcemy, ale z największą przyjemnością przyznać nie winniśmy, że język jego wszędzie poprawny i czysty, wolen cudzoziemskich zwrotów, a przytém jasny, przezroczysty, obrazowy, czego nie można powiedzieć o wielu naszych piewcach, grzeszących bezustannie przeciwko gramatyce, a co większa zdrowemu rozsądkowi, od którego żaden zapał, żadna *licentia poetica* nikogo nie uwalnia.

Sen odrodzenia przez *Bogumiła Aspisa*, Warszawa 1869 r. stron 36. Cena kop. 45.

Utwór powyższy, dedykowany pani Kazimirze z Pietraszewskich Mosch, pomimo ekscentryczności (modus dicendi), jakie nierzadko w nim się napotykają, wysokiéj jest wartości psychologicznéj, gdyż jaskrawo odzwierciadla zwątpienie, cierpienia i szamotanie się duchowe, dzisiejszego społeczeństwa, a przynajmniéj wybrańszych jego jednostek, które zmoszą prawdziwie Tantalowe męki, nie mogąc rozwiązać zagadki bytu... choćby na raz tylu obok siebie sprzeczności. Bohater poematu szuka prawdy, odrywa pieczęcie jedna po drugiéj dotychczasowych arkanów ludzkości, i wszędzie znajduje... próżnię, aibo co gorsza fałsz i obłudę. Zrozpaczony, zstępuje niby drugi Dante, do piekieł, tylko nie po to, aby przypatrywać się mękom potępieńców, ale żeby wymódz na szatanie rozwiązanie trapiącéj go zagadki. Diabeł szydzi z niego i jak szpiega wypędza go z piekła:

„Nagle przygasło wszystko. Jakby z słońca
„Strącony rzutem niewidzialnéj dłoni
„W przepaść od razu, poczułem na skroni
„Znów chłód, i w oczach znów noc... noc bez końca!

„Pijany gniewem, przekląłem nadzieję,
„Co mi raz jeszcze zgasła, jak sen zwodny...
„Nieba'm niegodny! i piekłam niegodny!
„A ziemi nie chcę, więc gdzież się podzieję!“

Gdy biedak znękany, padł w końcu na kolana „przed wielką Boga przemocą“ ukazuje mu się „postać w bieli,“ bóstwo symbolizujące sztukę, czy poezyę, co na jedno wychodzi, i ta do życia go przywraca, albo raczéj budzi ze snu, który się staje dla niego *Snem odrodzenia*.

Czy to myśl nowa?

Nihil novi sub sole.

W każdym razie pokazuje nam, że poeta obraca się w wyższych sferach, dotyka najważniejszych kwestyi, i wszecznikow wszelkiego rodzaju, chłoszcze niemiłosiernie dojmującem słowem.. Jakże to różne od *Salvatora*.... jak mocno odstaje od płaczliwo-sentymentalnych wyrzekań na losy, lub ckliwszych jeszcze rymowanych kazań niektórych poetów naszych!

Formą włada poeta swobodnie, aż nadto może swobodnie, bo niekiedy nie zadaje sobie trudu do szlachetniejszego, a przynajmniéj stosowniejszego porównania np. str. 17.

Idź precz ztąd!... albo wszystkie te orkany
Co dmą po za mną wymierzę na ciebie,
I w wrzącém *morzu* tych łun cię *pogrzebię*,
Że pryśniesz od nich, jak... *garnek gliniany* !???

Dla rymu nie trzeba było ruszać garnka.

A dalej w poemacie prawie filozoficznéj treści po co te hyperbole, wywołujące uśmiech politowania na usta każdego nawet niepozytywisty. Str. 25.

Wiesz-że gdzie jesteś? że ja ci *tysiące*
Słońc tu sprowadzę pod nogi za chwilę,
I przy ich blasku powiem rzeczy tyle,
Że się *myśl twoja* sama *zmieni w słońce!!!*

Żadna improwizacya nie pozwala sobie tak śmiałych wyrażeń.

W końcu nie możemy pochwalić wyrażeń *postaci w bieli*, gdy przemawia do wpatrzonego w nią bohatera poematu:

. . . . Teraz w ręce moje (?)
Śmiały żeglarzu! *na pierś* (!?) *pod pieszczoty* (??).

Wyrażenie *pod pieszczoty* niepiękne i nie polskie.

J. P.

Pogadanka.

Jeden z podróżników wróciwszy z zagranicznéj wycieczki, obdarzył nas wiadomością niezwykłéj doniosłości, którą bardzo słusznie uznał za godną rozgłosu przy pomocy jednego z pism perjodycznych. Rzecz dotyczyła bociana, który na kolei żelaznéj między Berlinem a Stiglitzem stojąc na jednéj nodze tak się zadumał, że pomimo przeraźliwego pisku parowéj świstawki, został na miazgę przez pociąg rozjechany. Żałujemy mocno, że ów rozważny podróżnik, z tak widoczną korzyścią zwiedzający cudzoziemskie strony, nie pomieścił bliższych szczegółów, a mianowicie, czy bocian stał na prawéj nodze czy na lewéj, w którą stronę świata był przodem zwrócony, i czy miał postawę skurczonego dziadka, czy też wyniosłą mędrca albo dyplomaty. Szczególniéj ta ostatnia rola dałaby wiele do myślenia.

Zostawiając domysły gazeciarzom umiejącym z jednego uśmiechu, lub słówka wyrzeczonego przez którego z głośniejszych mężów stanu, snuć je przez całe szpalty, aby w końcu dowieść, że nic nie wiedzą; pomijając obecne babie lato promieniejące słonecznym blaskiem; przejdę wprost do szczegółów naszego żywota, któremu grozi zima, a drożyzna już dobrze daje się we znaki.

Podrożały węgle, mięso, chleb, masło, cukier, drzewo także codzień droższe się staje, ma zdrożyć piwo, zdrożeje więc wkrótce trzewik, but, ubranie, słowem wszystko co jest niezbędnem i koniecznem. Dla ludzi w stałe zaopatrzonych dochody, gwałtowne takie wzrastanie cen produktów, można nazwać przerażającem. Pan St. podnoszący zawsze bardzo ważne kwestje, zarówno ekonomiczne jak społeczne, jako ratunek w tém położeniu rzeczy, radził zakładanie po domach wspólnych kuchni dla kilku lub kilkunastu rodzin, które usuwając potrzebę utrzymywania oddzielnych kucharek i ognisk, wielceby się przyczyniły do umniejszenia wydatków, do jakich dotychczasowy systemat gotowania w każdym domu zmusza.—Pomysł wyborny, pięć bowiem rodzin w ten sposób stowarzyszonych, według dość ścisłego rachunku pana St., przynosi w zysku rocznie dla każdéj przeszło stu rubli, jeden pokoik z kuchni zamieniony i lepsze i tańsze jedzenie niż przedtém.—Ale jak go tu wykonać?

Pięć rodzin, z jedną chęcią dogadzania swemu smakowi, z podobnemi sobie funduszami, z usposobieniem zgodnem i jednakowém poczuciem obowiązku, wynaleźć zamieszkałe i to w jednym domu, jest prawie niepodobieństwem. Ten sam szanowny autor w innym artykule wykazał, że Warszawa na samém próżniactwie osób przesiadujących po trzy godziny dziennie w różnych zakładach picia i jedzenia, traci rocznie miljon złotych. O stratach z tego tytułu w domach wynikających, z wałęsania ulicznego, z wizytowania, nic tu nie wspominamy, a muszą one być także niemałe, bo na chęciach wypoczynku przy marzeniu o niebieskich migdałach, nikomu z nas Bogu dzięki nie zbywa.—Niechże więc w pięciu tych rodzinach więcéj będzie podobnych marzycieli, jak trzymających się rzeczywistości, czyż zgoda jest podobną?

Nadto pan R. K. w „Kurjerze Warszawskim", wykazał bardzo jasno, że Warszawa jest najbogatszém w świecie miastem, bo ilu mieszkańców tylu ma magnatów, i każdy z nich, czy to pani, czy sługa, czy wyrobnica, czy magnatka, nie znają już zupełnie saczkowych trzewików, tylko prunelowe, co do mocy, nie mogących nawet z pierwszemi iść w porównanie. — Wiadomo, że te prunelki płoszą dobrze rubelki, a potém mnożą długi; niechże więc w stowarzyszeniu znajdzie się jedna tylko rodzina, następstwa podobne przyjmująca obojętnie, to zażądawszy raz kredytu i nie zaspokoiwszy go, spółkę rozprzęże w jednéj chwili.—Więc i pod tym względem, zgoda pięciu rodzin byłaby bardzo trudną.

Rozważając to wszystko, smutno się robi na sercu. Zawiązujemy różne stowarzyszenia, do nowych powstają pomysły, myślimy o ubóstwie i nędzy, cieszymy się, że sławny hamburgski szachista został przez naszych graczy pobity na łeb i szyję; że przybyła nam wreszcie pierwsza fabryka korków, że literatura perjodyczna się wzmaga, ale cóż to wszystko znaczy w obec stanu umysłowych zasobów, jakiemi społeczność nasza rozporządza.— Gdyby zawiązało się stowarzyszenie szerzenia oświaty, cóżby to za dobrodziejstwo było dla wszystkich! Wszystkoby wtenczas rosło jak na drożdżach, handel, przemysł, gospodarstwo, rzemiosła: Księgarnie roiłyby się kupującemi, a więzienia wyludniały stopniowo, coraz mniéj licząc przestępców. Podobnie dzieje się w sąsiednich Prusach. W Gdańsku znajdowało się zwykle w więzieniu do czterechset więźniów, od chwili energiczniejszego wzięcia się do szerzenia nauki i oświaty, liczba przestępstw w całych Prusach tak dalece zaczęła się zmniejszać, że dziś cyfra więźniów dochodzi do trzeciéj części dawniejszéj liczby, a w samym Gdańsku z czterechset spadła na 150.

Oświatę, czując jéj potęgę, radzilibyśmy z zagranicy sprowadzać jak ostrygi lub wino szampańskie, ale przyłożyć samemu choć palec do jéj rozwoju, to trudność prawie niepokonana.

Czasami głos poczciwy w jakiem pismie przemówi do nas z serdecznością, czasem zjawi się jaka książka prawdzie pożyteczna, ale głos wprędce ginie w zapomnieniu, a książka okrywa się warstwą pyłu, i nikt nawet o niéj nie piśnie. O jednéj takiéj świeżo wydanéj, chcę troszkę pomówić.

Jest to dziełko niewielkie p. t: *Najnowsze wychowanie, cel jego i warunki*, które przeczytawszy od deski do deski, dość nadziwić się nie mogłem, jak miało odwagę wyjść na widok publiczny. Treść jego bardzo ważna i poucząjąca, stanowi zbiór odczytów profesorów angielskich mianych w obronie wychowania naukowego młodzieży. — Ale cóż treść poradzi, jeżeli tłomacz z wydawcą, starali się na wyścigi, przesadzić jeden drugiego w niedbałości i lekceważeniu przyszłych czytelników. — Tłomacz wyraźnie nie rozumiał przedmiotu, nie objął go myślą, coś domyślał się, słyszał jak to mówią, że dzwonią tylko nie wiedział w którym kościele. Tłomaczenie też jego kubek w kubek takie same, niby rozumne a niezrozumiałe, niby rzecz jasno przedstawiona a zakręci aż w pięcie, chcąc ją koniecznie pojąć; niby gładko się czyta, a czaszka o mało nie pęknie, czytający coś się domyśla, ale po ukończeniu każdéj prelekcji, zostanie mu w myśli tylko kilka ogólników, a cały wywód pierzchnie bez śladu. — Pierwsza jedynie prelekcja *o potrzebie wykładu fizyki*, jeszcze jako tako spolszczona, da się czytać i rozumieć, reszta to prawdziwe łamigłówki. — Jeżeli dołożymy do tego czterdzieści błędów wykazanych spisem oddzielnym, dwieście zostawionych domyślności czytelnika: najszkaradniejszą punktację; która dana fałszywie, zmienia myśl perjodu, albo go robi zupełnie niezrozumiałym, to pojmiemy choć troszkę niedbałość całego wydania.

Pan Dzikowski jako głosiciel prawdy i jéj miłośnik, przyrzekający publiczności mówić wszystko zgodnie ze swem przekonaniem, nazywać czarne czarnem, a białe białem, sądzimy, że nie weźmie nam za złe, gdy powiemy wyraźnie, że na podobne wydania szkoda nie tylko papieru, ale bibuły, i że rubel wyrzucony na kupno jego, to czyste marnotrawstwo od którego każdego radzibyśmy ochronić.

Drugiem dziełkiem, ale już zasługującem na polecenie, są *Wieczory czwartkowe*, obejmujące popularne opowiadania z dziedziny nauk przyrodzonych. Młody czytelnik znajdzie w niem objaśnienie dotyczące najważniejszych praw fizyki i mechaniki, wyłożone bardzo jasno i przystępnie. — Forma rozmowy jakiéj autor użył, może czasami nudzi, ale ma i swoje wielkie zalety, bo przyczynia się wielce do rozjaśnienia nasuwających się wątpliwości.

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

(Dalszy ciąg).

Madonna Rafaela w zupełnie oddzielnym mieści się pokoju i tak ustawiona, że światło rozlewa się wszędzie jednakowo, bez rażącego blasku i powlekania płótna pewnem zamgleniem.

Jest to obraz kolosalnéj wielkości, osadzony w postumencie z ramami dębowemi, i przy pierwszem zaraz spojrzeniu tak widza wskroś przejmujący, że mimowoli zdejmuje się kapelusz z głowy na znak czci i uszanowania. Kiedy na początku zeszłego wieku, wysłańcy królów Saskich, przebiegali całą Europę wyszukując w niéj rozproszonych arcydzieł malarskich, składających dziś tak zwaną Galerję Drezdeńską, Madonna Rafaela mieściła się w ołtarzu jakiegoś wiejskiego kościoła, okryta całą pyłem i kurzem wrośniętym w nią tak, że zaledwie można było rozpoznać co właściwie obraz przedstawia. Oko znawcy odrazu odgadło w nim rękę mistrza, ofiarował więc zwierzchności kościelnéj nowy podobny obraz i parę tysięcy skudów w dodatku, co naturalnie chętnie przez zakonników przyjętem zostało. Po przywiezieniu do Drezna, na płótnie znać tylko było samą Madonnę z Dzieciątkiem; ze św. Barbary i św. Sykstusa gdzieniegdzie tylko cząsteczki przebijały się, a w górze i na dole obrazu ciągnęła się jedna warstwa brudu wszystko zasłaniająca.

Wzięto się więc natychmiast z największą ostrożnością do odczyszczenia. Był to trud żmudny prawdziwie do heroizmu posunięty, dokonano go jednak i wtenczas nad Madonną, okazały się obłoki ułożone z główek aniołków, a u dołu przy samych ramach obrazu, dwa aniołki już same stanowiące prawdziwe arcydzieło. Spoglądając w niebo wzniosą oczy ku górze, i patrzą z takiem zajęciem, z takiem poszanowaniem, z taką wreszcie nieświadomością dziecinnego wieku a jednak korno i milcząco, że się jest pewnym, iż widzą Boga, że Mu się przypatrują tylko nie mogą pojąć tego co widzą.

Sama Madonna jest prawdziwem urzeczywistnieniem piękności ale nadziemskiéj, przejętéj Bogiem i Boga dającéj światu. Patrzy wprost siebie ze spokojem i świętością, zda się zaglądać do duszy widza, wydobywając z niéj wszystko, co go wznosi ku niebu targając jego więzy przykuwające go do ziemi. Dzieciątko Jezus także spojrzeniem spotyka się z oczami patrzącego. W spojrzeniu tem widnieje mądrość i przyszłe męczeństwo, miłość promienieje całym ogniem potęgi i zda się wołać: korz się człowieku z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, ale duszą ożyjesz w wieczności. W patrując się w to arcydzieło sztuki malarskiéj, wypatrzone przez mistrza w nadziemskim jakimś zachwycie, odbierane wrażenia któreśmy słabem piórem naszem starali się określić, z każdą niemal sekundą potęgując się, przejmują go dziwnem rozrzewnieniem i zanoszą myśl ku Temu, co jest tak Niepojętym i Niezbadanym.

Te też od obrazu trudno oczy oderwać, w niemem zamyśleniu każdy patrzy, podziwia a choć zawsze kilkanaście osób można spotkać przypatrujących się, w pokoju panuje taka cisza jakby nikogo nie było, ani szmeru, ani głośnéj rozmowy nigdy nie posłyszysz, tylko cichy szept uwielbienia i równie ciche na palcach stąpania przechodniów. Pokój wystawy nagle przemienia się w świątynię, w któréj wszystko co ziemskie, człowiek zostawia w progu przedsionka. (d. n.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Nim jednak przyszło do wielkich stanowczych narad nad wyznaczeniem terminu pierwszego wieczora, męzkie towarzystwo, do którego należała inicjatywa, naprzód musiało się skupić i obliczyć, i przyjść do pewnego porozumienia. Jądro jego stanowili naturalnie miejscowi młodzi panicze, którzy się znali między sobą. Z tych każdy niemal, porobiwszy u wód już znajomości, wprowadzał kogoś, prezentował i wyjednywał mu u innych prawo obywatelstwa; w ten sposób zlepiało się owo grono, z którego łona wyjść miał komitet.. urządzający zabawy i obejmujący pewien rodzaj supremacyi nad towarzystwem. Od niego później zależało, które z pań miały być proszone, pominięte, która wybrana gospodynią i t. p. Wszystko to małe napozór wydają się rzeczy, ale na *deptaku* u zdrojów — o! jakże wielkie przybierają rozmiary, ile obudzają współzawodnictw, gniewów, fochów, uraz — ba, nawet cichych pojedynków i nagłych wyjazdów... Zrazu zwykle idzie wszystko jak po maśle i klei się wybornie.. najmniejszéj dysharmonijnéj nuty.. zgoda najprzykładniejsza.. nagle — jakby komar zabrzęczał tylko.. ktoś komuś coś powiedział, ktoś komuś się nie tak ukłonił, jakaś pani poczuła się obrażoną danem drugiéj pierwszeństwem.. maleńkie to ukąszenia, sprowadza bąbel.. a gdy ten zniknie, długo jeszcze skóra czerwona swędzi. Z niczego rodzi się nieporozumienie, niczem się podżega, usłużny pośrednik godząc jątrzy, i — rozjeżdżają się goście pokwaszeni na siebie na wieki wieków. Szczęściem, że prawdopodobnie drugi raz w życiu się nie spotkają.

W téj chwili Krynica była jeszcze błogim przybytkiem pokoju, nikt na nikogo koso nie patrzał. Kilku z Krakowa młodzieńców dystyngowanych tworzyło kółko owe, do którego zwolna nowe miały się wiązać ogniwa. Znalazł się bardzo przyzwoity i miły obywatel z królestwa pan Aksakowicz, u którego młodzież wieczory spędzała. Grywano wista skromnego i gawędzono poufale. Majętny człowiek, choć na złe czasy okrutnie stękał — Aksakowicz zajmował mieszkanie obszerne „pod złotą jabłonią" i u niego najwygodniéj się zbierać było, ku wszelkim naradom. Aksakowicz miał tę jedną wadę tylko, że gościnny do zbytku, nie zważając na kurację, lubił bardzo węgrzynem częstować. Dopuszcza wprawdzie skromne jego użycie woda krynicka — ale wara od zbytków. Aksakowicz utrzymywał że to, *in quo nati sumus*, węgierskie, nigdy szkodzić nie może, w żadnym razie, nawet na śmiertelnéj pościeli. Z tego powodu opowiadał zawsze dykteryjkę o nieboszczyku swym dziadku, który był opuszczony od lekarzy, zdesperowany.. przyjął już sakramenta i miał konać, gdy mu przywiązany jego stary sługa, przyniósł butelkę dwudziestoletniego tokaju, zaklął go aby wypił kieliszek.. i — cóż powiecie? kończył Aksakowicz — wypił jeden, namówił się na drugi, zasnął, wypocił się — nazajutrz, sztukę mięsa jadł i zdrów był i dwanaście lat potem żył jeszcze. Jakby ręką odjęto chorobę!

Na mocy tych doświadczeń, szanowny obywatel wierzył w węgrzyna i nie szczędził go. Nie można było nawet wiedzieć z pewnością, czy do Krynicy do wód przybył, czy w myśli skorzystania z sąsiedztwa Węgier, aby tam parę okseftów sobie zamówić dobrego, tłustego maślaczu.

Wieczorem do poczciwego Aksakowicza przychodził kto chciał, dom był przy głównéj ulicy, naprzeciw restauracji prawie, niedaleko Dr. Zieleniewskiego, w ognisku życia, — więc póki świeciło w oknach, bez ceremonji zaglądał każdy. W obszernéj salce niewytwornie przybranéj, ale przecież z firankami i storami — była kanapa, stół owalny duży, krzeseł podostatkiem, a u drzwi mniejszy stolik, na którym od rana do nocy zmieniały się butelki i kieliszki! Przy nich pudełko austryjackich cygarów i papierosów La-ferma. Tu zbiegały się nowiny, naradzała młodzież, tu najpierwéj arkusze z podpisami na składki przychodziły, w tym progu zjawiali się najprzód ci przybysze wszelkiego rodzaju, ślepi koncertanci, głusi sztukmistrze, kulawi bohaterowie, o których sławie nikt nie wiedział — starający się wyzyskać turf krynicki dla ubogiéj kieszeni. Aksakowicz nie dawał wiele, ale nie odepchnął nikogo. Nie cierpiał samowolności, od któréj, jak mawiał, człek tetryczeje — rad był wszystkim.. przytem grał namiętnie wiseczka, — zapomniałem dodać, że były dwa stoliki równie gotowe zawsze, jak ten trzeci stojący u drzwi.

Jednego z następnych wieczorów grano właśnie, a grając gawędzono. Aksakowicz starszéj daty człowiek, fajkę palił z długiego cybucha. Naprzeciw niego siedział wyprostowany, szerokich ramion, martwéj twarzy, nieco łysy, niezbyt młody, ale widocznie chcący się jeszcze liczyć do młodzieży, major baron Hotkiewicz. Miał on charakterystyczną postawę austryjackiego wojskowego, jakby stworzoną do białego munduru i kapelusza z pióropuszem szmaragdowym. Mówił on źle wszystkiemi językami tego świata, a miał ten defekt, że je wszystkie z sobą zwykł był mięszać. W jakimkolwiek z nich mówić zamierzał, zawsze mu czegoś brakowało, co w drugim znajdował na podorędziu.. posługiwał się więc po wojskowemu, czem napadł. Co na placu to nieprzyjaciel. Stojąc dłuższy czas w Medjolanie i mając tam artystyczne stosunki w teatrze, nauczył się troszkę po włosku, niemiecki język stanowił chleb powszedni, z domu był wyniósł polski, dziś go znacznie zapomniał, rodzice jego mieszkali w rusi galicyjskiéj i tego więc coś pochwycił. Po łacinie w szkołach go zmuszono nałykać sentencji i wyrażeń. Umiał też niezgorzéj po węgiersku, nieźle po czesku, i wcale przyzwoicie po francuzku. Myśl spętana tylu różnemi kółkami, na które się nawijać była zmuszoną, plątała się między niemi. Ale baron sobie radę dawał, i w ten lub inny sposób dał się zawsze zrozumieć.

Trzecim przy stoliku wista był milczący, grzeczny, ale nudzący się grą, siostrzan pani Hercegowińskiéj, Porfiry Zemła, który dawał na siebie, po każdéj partji i robrze, majorowi i gospodarzowi wygadywać co chcieli; kłaniał się, uśmiechał, tarł po głowie.. a wnet omyłki te same, o które go tylko co strofowano popełniał. Nie miał żadnéj do gry zdolności.

Przy drugim stoliku mieli grać, ale jeszcze nie byli siedli, koryfeusze złotéj młodzieży. W téj chwili nawet stali kupką na cichéj naradzie: młody pan Stanisław Greifer krakowianin, doktór praw, który nie wiedział jeszcze co z życiem i patentem zrobi. Tymczasem się bawił. Rodzice byli majętni, jemu uśmiechało się życie, stosunki miał arystokratyczne, zacząwszy od baronów i Krzeszowic, aż do.. najszczelniéj zamkniętych pałacyków Sławkowskiéj ulicy. przystojny, dobrze wychowany — czegóż się miał do roboty spieszyć. Wedle teorji jego, stosunki w życiu były wszystkiem, pracował na pozycję socjalną jak nieboszczyk Hieronim Patûrot. Obok niego stał słynny sportsmann hr. Żelazowski, który wprawdzie swojego własnego stada, ani nawet konia nie miał, ale cudzych znał pochodzenie i przymioty na palcach. Ambicją jego było, zostać wyrocznią w sprawach turfu i nikomu się w tem nie dał wyprzedzić. Na każdych kursach z kartką na kapelusiku grał pierwszą rolę, starał się być bardzo widocznym, rządził się, chodził, wywoływał.. z czego już poniekąd był znanym i sławnym.

Ten nałóg królowania w stajniach, dawał mu imponujący ton między ludźmi w salonie. Obchodził się z nimi jak z końmi, a nawet może łagodniéj z ostatnimi, bo się ich więcéj obawiał. Dwa czy trzy szczęśliwe pojedynki, tytuł, stosunki pokrewieństwa ze Lwowskim pałacem „pod kawkami" darzyły go niezmiernym aplombem. Mina też hr. Żelazowskiego straszliwie butna, wzrost, łysina majestatyczna.. zdala już zapowiadały znakomitość. Jakim się tu sposobem przyplątał pan Hamermann, obywatel z Poznańskiego, skromny człowiek, który był z profesji gospodarzem, i jeśli nie mówił o owcach, rozprawiał o bydle i krzyżowaniu ras, a jeśli nie krzyżował, to traktaty całe o elektach i superelektach wykładał, nigdy prawie nie wychodząc z tych tematów ulubionych, chyba by coś dorzucić o wzorowéj administracji pruskiéj— tego nie wiem. Dosyć, że stał z cygarem w ustach i pan Hamermann. Nabstatek chodził zwolna zamyślony, ręce w tył, głowa zwieszona na piersi, pan Surwiński.

— Do składki na nasz piknik, mówił hr. Żelazowski, policzmyż się, ilu pewno rachować można. Bo to, panowie moi, skromnie, pięknie, Krynica nie wiele wymaga, wieczorek w szopce.. salka sama nie dopuszcza wielkiego występu.. a pomimo to.. pomimo to.. wstydu sobie zrobić nie możemy.. więc kosztować będzie. Za salkę, jak ona jest to jest zapłacić coś trzeba, bufet obmyślić.. herbata, ciastka, no — i bukiety dla dam — konieczne, i butelczyna wina i ordery do kotyljona.. i to, i owo kosztować będzie. Liczmyż się, ilu nas.

Greifer liczył na palcach.

— Ale, ale, rzekł Żelazowski—cóż to jest za Pilawski? Kto? co? zkąd? jeszcze się z nikim nie poznał, nikomu nie prezentował?

Usłyszawszy nazwisko, przypadł jak oparzony pan Karol Surwiński.

Nie Pilawski — ale Piławski.

Piła czy Piła.. ależ któż i zkąd? co? dodał Żelazowski, w strachu ażeby kto inny na to pytanie odpowiadając nie zabrał głosu — p. Surmiński wcisnął się do kółka. — Za pozwoleniem, rzekł —o tem zdaje mi się, że tylko ja jeden coś powiedzieć mogę.

— A no, — to gadajże, — zawołał sportsmann.

Pan Karol uderzył się w piersi, uśmiechnął i rzekł poważnie, stłumionym głosem — to — to jest, któryś z hrabiów P..... *incognito*.

Wszyscy się rozśmieli i oczy zwrócili na p. Karola, który spoważniał.

— Znacie mnie panowie, — rzekł, — że ja na wiatr mówić nie zwykłem, jeśli co twierdzę, to na pewnych podstawach. — Otóż powiadam panom, że mam poszlaki, sygnały, niemal pewność, iż ten pan Piławski.. pseudonym.. nie kim innym jest.

— Ale co znowu, co znowu! ofuknął hr. Żelazowski, — przecież ja ich, ile jest, do jednego znam.. osobiście znam.

— Ja także — skromniéj dodał Grejfer.

— Kochany hrabio — ironicznie dorzucił pan Karol, — jak to można powiedzieć, ja ich wszystkich znam! Familja rozrodzona, są ze złotego, są ze srebrnego, są z czerwonego źródła i innych, są gałęzie i gałązki, są samozwańcy przez inne piszący się litery.. Samych najprawdziwszych, od magnatów począwszy do chudopachołków.

— Jakich chudopachołków? — wykrzyknął Żelazowski.

— A, bo są najprawdziwsi hetmanowicze, co pary koni nie mają, — dodał dosadnie pan Karol. — Cóż to pan myślisz, że znasz lepiéj ich genealogję ode mnie, com zęby zjadł..

— Na genealogji? — szepnął Greifer..

— Nie, — na chlebie — rzekł pan Karol — alem stary..

— Jakto? ty? przyznajesz się, żeś stary? — rośmiał się od stolika Aksakowicz.

— Stosunkowo do hrabiego! — poprawił się pan Karol.

— Dajmy już pokój; ale jakie masz dowody? — zapytał hrabia uderzony tą pewnością, z jaką Surwiński przy swojem się upierał.

— Z dowodów spowiadać się nie chcę, gdy mi wiary nie dajecie i zaczynacie od opozycji — rzekł urażony Surwiński, — przekonacie się może zapóźno, że miałem słuszność.

— No, dobrze — dobrze, — ale cóż za tem idzie? — odezwał się Żelazowski. — Z nikim się nie poznał, trzyma się na uboczu. Juścić my pierwsi ku niemu wystąpić nie możemy, nie mamy powodu.. niewypada..

— Czyńcie panowie jak uważacie właściwem, — odparł, ciągle obrażonym się czując, pan Karol.

— Bez kwestji — wtrącił Grejfer, — gdy ktoś z imieniem i pozycją w świecie przybywa w miejsce nowe, jeśli ród i zasługi dają mu pewne prawa.. towarzystwo winno pewne też względy, — lecz z drugiéj strony, jeśli chce zachować incognito, jeśli pewności nie ma, jeśli widocznie stroni.. jeśli nawet lekceważenia rodzaj okazuje...

— Ale dla czegóż lekceważenia? — mruknął Karol.

— A juściż — rzekł żywo Żelazowski — boć to obowiązek człowieka należącego do pewnych sfer, ażeby przybywszy zameldował się — *swoim*.

Pan Surwiński począł coś nucić pod nosem i wysunął się z kółka.

— Rzeczywiście, — szepnął Grejfer — nie można przeczyć, iż wygląda arystokratycznie, — znać iż człowiek majętny.. lecz znowu Surwińskiemu, często się nie wiedzieć co śni...

— Śni się, śni się! dokończył Żelazowski. — Niechce on nas, chodzi sobie pojedynkiem, niech chodzi, nie potrzebuje towarzystwa, towarzystwo się też, myślę — bez niego obejść potrafi. Zatem... liczmy się.

— Za pozwoleniem, — wyrwał się Hamermann.. jest jakaś pani z Berlina słyszę.. nie wie kto z panów jéj nazwiska? Ciekawym?

Surwiński poskoczył.

— Ja wiem, ja wiem... Pani Domska z córką Elwirą.

— Domska, Domska.. chyba Dąbska, Dębska, Dębińska, Dębowska... ale Domska!! Nie — u nas żadnéj takiéj rodziny nie ma.. — rzekł Hamermann. — Dębskich znam, starszy ma niezłą owczarnię, ale za syna podupadła.. baranów nie odmienia... Jam mu to prorokował.. lepsze czy choćby równe, ale muszą być z innéj owczarni.. inaczéj karłowacieją i zwodzą się — to rzecz naturalna...

Wszyscy się uśmiechali, Hamermann wszedłszy z Dębskich na owce, już o pierwszych zupełnie był zapomniał.

— Osoba bardzo znać majętna — począł Surwiński, wkraczając w rozmowę — córka piękna niepospolicie. Osobliwsza rzecz — my ich nie znamy, tego mniemanego Piławskiego i téj pani Domskiéj — a oni między sobą.. znajomość mają..! — Uśmiechnął się. — I to ma swe znaczenie! Czasem chcąc bliższe z kim zawrzeć stosuneczki, zjeżdża się umyślnie incognito w kątek zapadły, między obcych ludzi.. Hm... Sapienti sat. Więcéj nie mówię.

Wszyscy po sobie spojrzeli.

— Moi drodzy, — ozwał się w téj chwili robra skończywszy Aksakowicz — co nas tam cudze sprawy obchodzą? Kieliszek dobrego, wytrawnego węgrzyna nie byłby od rzeczy? he?

— A no! — rzekł hrabia — zgoda..

Gospodarz poszedł nalewać co prędzéj... i tak towarzystwo jakoś rozweselone, o trosce chwilowo zapomniało. Piławski i Domska przestali ich zajmować, z wyjątkiem Surwińskiego, który smokcząc z kieliszka, w milczeniu domysły i kombinacje układał.

Następnych dni, o co w Krynicy nie trudno, deszcz regularnie przekrapiał zrana, około południa, wieczorami i nocą, mgły wilgotne, goście od Tatrów, snuły się po nad uzdołami, obłoki okrywały wzgórza, a gdy się na małą chwilkę rozpogodziło, i panie lub panowie już, już, zabierali się do wycieczek.. wiatr napędzał chmury i kapuśniak mniéj więcéj gęsty, rozpoczynał na nowo — taka pora, gdy trwa dni kilka, zdolną jest ludzi najwytrzymalszych doprowadzić do podrażnienia, odjąć im cierpliwość, skłócić z gospodarzem domu, poróżnić z ordynującym lekarzem, zwaśnić w łazienkach z posługującymi i z całym rozbratać światem. Skazani na samotność przyjezdni, wyczerpawszy łatwo się wyczerpującą bibliotekę i własne zapasy, nie mogąc spać we dnie, bo to rzecz zakazana, chodzą, sporzą i nudzą się okrutnie. Wprawdzie w tym roku niepospolitą rozrywkę sprawiały nadchodzące z dyliżansem dzienniki, które w progu rozchwytywano z gorączkową ciekawością, lecz te, nawet z ogłoszeniami jedzone do kości, mało nasycały. Dowiedziawszy się o zwycięzkich pochodach wojsk pruskich, trzeba było karmić się miejscowemi plotkami.. aby jako tako wyżyć.

Przybycie pani Domskiéj z córką i pana Gabriela Piławskiego z owemi tłumokami, stanowiło wsród tego głodu i nudów powszechnych, przedmiot niewyczerpanych domysłów. Intrygowało to najmocniéj, że pan Piławski nie szukał wcale niczyjéj znajomości, że chodził sobie po pokoju z cygarem świszcząc, czytał książki, a czasem rysował, nie okazując najmniejszéj ochoty zawiązania żadnych z miejscowem towarzystwem stosunków. Franek, który był i sam ciekawy i przez drugich do szpiegowstwa pobudzany, zaglądał pod różnemi pozorami do pokoju anglika (jak go nazywano) i donosił co robi.. Gospodarz nawet był zaintrygowany.. cóż dopiero inni.

— Siadł sobie na sofie, — mówił Franek, — i w książce coś rysujo. Potem opowiadał, że siadł i czyta, lub że chodzi i cygaro pali. Parę listów odebrał z Warszawy pan Piławski, które nim się do niego dostały, uległy miejscowéj kontroli koperty... Zastanawiano się bacznie nad pieczątką, — nad lakiem, charakterem adresu i znakami, po których by można korespondenta odkryć. Listy były męzkim charakterem pisane, na sposób kancelaryjno-handlowo-bankowy adresowane — a — co dziwna — na kopercie stał stępel: *G. Piławski. Varsovie.* Ten stępel intrygował. Można się z niego było domyślać bowiem, że pan Piławski stał na czele jakiegoś domu noszącego firmę jego. Jeden z tych listów wpadł w ręce pana Karola Surwińskiego i mocno go zafrasował z razu, wywracał bowiem całą jego domysłów budowę. Lecz pan Karol, gdy przy czem stanął, nie ustępował łatwo, — obrachował więc, iż stępel był umyślnie dla otrzymania incognito zrobiony. — Stara sztuka, — rzekł, — stara sztuka!! ale wróbli na plewę nie biorą u nas. Znamy się na tem.. Stępel nie kosztuje wiele, a może niewytrawnych pobałamucić!

Rozśmiał się i poszedł..

Z drugiéj strony, pani Domska i jéj córka, które widocznie też unikały bliższych znajomości, były przedmiotem domysłów i dociekań ze strony mężczyzn i kobiet.

Obradowano nad tem: czy je miano prosić na ów piknik, czy też nie. Pan Karol Surwiński, który znał zwyczaje, dowodził, iż przyzwoite osoby, nie wchodząc bliżéj w ich biografje, u wód zawsze zapraszać należało, choćby nikomu nie były znajome.. Pan Stanisław Grejfer, który uczył się etykiety i formalności po najpierwszych domach, aksiomat ten podawał w wątpliwość, — hr. Żelazowski trzymał się neutralnie.. Hamermann ruszał ramionami, znajdując, że jak tylko kwestja nie tyczyła owiec i bydła, rozstrzygnięcie jéj dość było obojętnem.

Około tych pozamykanych drzwi pani Domskiéj i pana Piławskiego, snuli się i przesuwali ciekawi. Nareszcie Surwiński wpadł na domysł, iż panie musiały się przecież radzić doktora któregoś, a doktór po rozmowie i bliższéj znajomości, mógł wiedzieć coś więcéj niż inni. Poszedł tedy pan Karol dotrzeć tego, kto był ordynującym i kogo się radziły te panie. Okazało się z pilnego śledztwa, iż ani Dr. Zieleniewski, ani z Krakowa przybyły młody lekarz, ich nie odwiedzał, ale niedawno tu i chwilowo osiadły Dr. Werter.. który jakiś czas praktykował w Krakowie, potem na prowincji, a teraz szczęścia u wód probował. Dr. Werter znowu nie był jednym z najdostępniejszych. Przychodził czasem na wista do Aksakowicza, ale wziąwszy cygaro w usta i karty w ręce, mruczał tylko — umhu, w żadną dłuższą nie wdając się rozmowę. Surwiński rachował na to, że miał talent trybuszona, dobywania najhermetyczniéj zamkniętych butelek. Manewrował, tak, że Dr. Wertera pochwycił, prosił go o radę, nagadał przed nim nawet na Dr. Dietla, którego on nie lubił, poczęstował cygarem dobrem — i dopiero indagację rozpoczął.

— Pan dobrodziéj zna te damy?

— Poznałem je — tu dopiero.. gdy się zgłosiły do mnie.

— Osoby majętne, zdaje się i dobrego towarzystwa?

— A! dobrego — a! majętne! majętne! — rzekł Dr. Werter.

— I panna piękna.

— A! bardzo piękna. Doktór cygaro palił, stał, ale mówić widocznie nie chciał.

— Jak się panu konsyljarzowi zdaje, to muszą być damy z Poznańskiego?

— Albo z Prus zachodnich — dodał doktór.

— Obywatelki — wiejskie.

Werter palił cygaro. — Zapewne że obywatelki.

— Dobrze wychowane.

— Bardzo, bardzo! panna znać muzykalna, bo mnie się pytała czyby fortepianu nająć nie można.. Cha! cha! a tu pono jedyny w Warszawskim Hotelu na całą Krynicę.

Surwiński zdobytą wiadomością nadzwyczaj się ucieszył.. ale, na tem się skończyło. Co się tyczy Pilawskiego, ten pono sam był u Dr. Zieleniewskiego, on tylko z nim pomówił i pił wody. Surwiński z rozpaczy począł intrygować, aby mu, w imieniu towarzystwa wolno było zrobić krok i zachęcić p. Pilawskiego do zbliżenia się.

— Jeśli ty sobie chcesz — rzekł hr. Żelazowski, to czyń kroki jakie ci się podoba, *officieusement*, prywatnie, ale oficjalnie od nas — proszę, żadnych.

— No — to prywatnie! prywatnie! — odparł pan Karol — już ja was nie skompromituję.

Drugiego dnia, w godzinie najniebezpieczniejszéj dla pijących wody, gdy się po obiedzie chce zdrzemnąć i szuka się dystrakcji—deszcz lał w najlepsze.. pan Karol ubrał się starannie, i po długiéj walce z sobą wszedł na górę.. Klucz był w zamku, zapukał. Proszę! ozwało się z środka.. Uroczyście, a nie bez bicia serca, wtoczył się Surwiński do tajemniczéj komnaty, zajmowanéj przez wielkiego nieznajomego.

Ten chodził właśnie z cygarem w ręku po pokoju, stanął w pośrodku zadziwiony nieco, machinalnie na kieszeni palce położył, czekał. Mieszkanie, mimo skromnego urządzenia swego, wydawało się bardzo pańsko, dzięki przyborom jakie gość przywiózł z sobą. Owe sławne garniturowe tłumoki angielskie i torba stały w kątku, świecąc bronzami. Na stole nakrytym dywanikiem gobelinowym, wzorzystym, rozłożona była cała zbrojownia toaletowa, jak u ładnéj pani. Szczotek ze sześć, flaszek z pięć, grzebienie, mydła, butle kolońskie oplatane.. jednem słowem, jak się wyrażał pan Karol — rozpusta. Na drugim stoliku, znowu osłoniętym kapą kolorową, były książki i przybory do palenia. W kącie stały buty, które mogły iść na wystawę międzynarodową. Pan Karol miał czas zaledwie rzutem oka to objąć, i skłoniwszy się gospodarzowi wdzięcznie, począł:

— Darujesz mi pan dobrodziéj, że mu się sam zaprezentuję, ale u wód.. jest to przebaczonem.. Mam kilka słów do powiedzenia, spodziewam się, że nie przeszkadzam.

— Nie — nie, bardzo proszę — niech pan siada, odezwał się Pilawski, głosem dźwięcznym, rzeźwym i wesołym.

— Jestem obywatelem miasta Krakowa, rzekł pan Karol, posiadaczem nieruchomości — dawny żołnierz, mości dobrodzieju? Karol Surwiński, do usług.

— Gabriel Pilawski.

— Tak, wiem, wiem, uśmiechając się kończył napastnik.. pan dobrodziéj z Warszawy?

— Tak jest..

— Miło mi poznać..

— Bardzo mi przyjemnie, odparł kłaniając się gospodarz, którego mina zwiastować się zdawała obawę i przeczucie, że szło o jakąś składkę.. Rękę trzymał ciągle na kieszeni..

— Przychodzę tu, mówił Surwiński — istotnie w bardzo delikatnéj sprawie.

Lekki uśmieszek przebiegł usta p. Pilawskiego.

— Pan pozwoli mi się wytłomaczyć?

— Proszę, proszę!

— U wód, panie dobrodzieju, my tu mamy swoje zwyczaje.. nawyknienia.. trzeba się nieco zabawić — jest młodzież, są kobiety.. Łączymy się tedy, znajomi czy nieznajomi, bez wielkich ceremonji, i.. to wieczorek, to pikniczek.. rozumie pan?

— Rozumiem, odparł gospodarz — i bardzo to pojmuję.

Pan Karol korzystając z danego mu udzielonego mu pozwolenia, przysiadł nieco, obawiając się, aby go zbyt rychło nie odprawiono — nim się dobrze wszystkiemu przypatrzy. Uprzejmy pan Pilawski podsunął mu cygaro, — wcale nie okazywał się dzikim. Jednakże nie usiadł sam, — stał, — co poniekąd dawało do zrozumienia, iż zbyt długo zatrzymywać gościa nie życzył. Na stoliku leżała książka otwarta po angielsku. Zapalając cygaro Surwiński rzucił na nią okiem i z wielkiem zdumieniem dostrzegł, że to była — *anatomja opisowa* ciała ludzkiego, gdy spodziewał się ujrzeć romans, lub co najwięcéj — broszurę polityczną.

— Ci panowie, rzekł w duchu — miewają czasem osobliwsze fantazje — z nudów.

— Do zabawy, mówił daléj, pilnie się wglądając, im więcéj osób tem przyjemniéj, — Widząc tu pana dobrodzieja jakoś odosobnionym, samotnym, a nasze towarzystwo pragnące się wesoło rozerwać, oto przyznam się, przyszedłem mu zaproponować, żeby się tu z młodzieżą bliżéj zapoznać.

Pilawski posłyszawszy to, jakąś dziwną zrobił minę, sposępniał i mruknął, jakby zakłopotany:

— Widzi pan dobrodziéj, — ja dosyć lubię samotność, — osób nie znam...

— Za pozwoleniem, żywo począł pan Karol — ja znowu znam tu wszystkich i sumaryjnym rzutem oka na zgromadzoną tu trafunkowo społeczność mogę mu służyć. Nie wątpię, że pan.. (tylko co mu się nie wymknęło hrabia, ale się utrzymał), pan — dobrodziéj nawykłeś do jak najświetniejszych towarzystw stolicy.

— Bynajmniéj, bynajmniéj! odparł gorąco zagadniony.

P. Karol się uśmiechnął, dając ruchem ręki do zrozumienia, że temu wierzyć nie chce.

— Przecież hrabinę Za... pan zna..?

— Tak, trochę, rzekł spuszczając oczy Pilawski.

— I pp. P... z Wilanowa i pp. hr. K...

— Bardzo mało, z widzenia pospieszył gospodarz.

— No, — nie nalegam.. dodał Surwiński — ale to pewna, iż z saméj powierzchowności pańskiéj znać człowieka nawykłego do pewnych sfer.

— Panie dobrodzieju, zaprotestował Pilawski, jestem w wieku pracy i poważnego zajęcia, mało bywam w.. świecie..

Gość ręką kiwnął i mówił daléj:

— Otóż i tu pan znajdziesz towarzystwo wcale nie najgorsze, — Naprzód, jeśliś pan uważał, słuszny i barczysty w popielatem ubraniu, to hrabia Żelazowski, sławny koniarz... O, już jak na koniach się zna, to, powiadam panu, pierwszy koneser u nas, jeździł dla edukacji téj do Anglji.

Zdawało się, że gospodarz chciał przerwać, Surwiński mu nie dopuścił i ciągnął mowę nie przestając.

— Mamy tu bardzo godnego obywatela z królestwa, pana Aksakowicza? pan go nie zna.

— Nie, nie mam szczęścia..

— Godny, majętny, gościnny, wylany człek.. U niego się wieczorkami na wisteczka i na dobre węgierskie wino zbieramy..

— Daléj? cóż daléj? a! Doktór obojga praw pan Stanisław Grejfer z Krakowa, obywatel godny też, majętny, wychowany ślicznie. Gość miły pod Baranami, i w Krzeszowicach, i w Łańcucie, — to dosyć powiedzieć.

Gospodarz, jakby zrezygnowany, milczał.

— Mamy jeszcze wielkiego agronoma, owczarza, człeka rozumnego i praktycznego pana Hamermanna z Poznańskiego.. Mamy z młodzieży, bardzo dystyngowanego młodzieńca, tego blondyna z włosami długiemi, pana Porfirego Zemlę; z poważniejszych osób dzielnego majora huzarów, zasłużbowego, barona Hotkiewicza.. No, cóż pan chce, gronko niczego...

Spojrzawszy na twarz gospodarza, pan Surwiński dostrzegł na niéj tylko zakłopotanie i znużenie. Rejestr ten znakomitości nie zdawał się na nim prawie żadnego czynić wrażenia. — A, to arystokrata, rzekł w duchu — nasi hrabiowie i baronowie austryjaccy znać mu nie smakują, bo to — prawda — dosyć zdyskredytowane.

— No, więc, może by się pan życzył poznać, wejść, zbliżyć, a ja — miałbym sobie za największy obowiązek mu to, ułatwić..

Pośpiesznie teraz, ozwał się Pilawski:

— Bardzo dziękuję — prawdziwie, jestem mu z serca wdzięcznym.. ale, z równą otwartością wyznam panu...

— Co on to mnie wyzna! nastawiając uszu i pochylając się zaciekawiony, rzekł Surwiński — co on mi tu wyzna.

— Wyznam mu, że jestem z natury, trochę tetryk, odludek, samotnik, przytem ja jestem sobie człowiek pracy, człek prosty...

— O! o! począł się śmiać pan Karol — proszę! proszę! wiemy, że pan chce zachować *incognito*.

— *Incognito!* powtórzył ruszając ramionami gospodarz, ale po cóżbym miał *incognito* jakieś chcieć przywdziewać, kiedy mnie nikt nie zna?

— O! o! a gdyby, domyślono się — dowiedziano — rzekł ze śmieszkiem stłumionym tryumfująco pan Karol.

Na te wyrazy, nieznajomy porwał się z krzesła dziwnie poruszony, zmięszany, i taki jakiś blady przestrach odmalował się na jego twarzy, iż pan Karol utwierdził się najmocniéj w przekonaniu, że w istocie odgadnąć go musiał.

— Czegoż by się miano domyślać! ja nic nie kryję, proszę pana! zawołał żywo — ja nic do ukrywania nie mam.. nikogo nie.. nikomu.. tak.. nikomu nie uwłacza...

Pan Karol widząc go tak strasznie zmięszanym, niedosłyszawszy ostatnich wyrazów — bojąc się, aby zamiast stosunku poufalszego, nie zasłużył na gniew, wstał szybko, i ze złożonemi na piersiach rękami, począł wyrażać się:

— Panie dobrodzieju, — nie ma nic! nie wiemy nic! Ja jestem człowiek dyskretny, proszę wierzyć. U mnie jak kamień w wodę.

Pilawski się namarszczył.

— Tu niema żadnéj tajemnicy! zawołał.

— No, nie ma, nie ma — milczę i wierzę.. nic nie wiem, proszę mi przebaczyć.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

To mówiąc, Zuzia jakby znagła przypomniawszy sobie całą doniosłość swych obowiązków, wyprowadziła szybko dziewczynkę z pokoju, przed sobą ją popychając.

Wrażenie łagodnego smutku tego dziecięcia, tak opuszczonego i tak znającego swe osamotnienie, pozostało w duszy Polly długo jeszcze po odejściu Florci. Prostacze to lecz gorące serce, odczuwało żywo niedolę téj słodkiéj i kochającéj dzieciny, skazanéj od losu na owo niepocieszone sieroctwo, i tak od chwili zbliżenia się z sobą tych dwóch istot, połączył je węzeł wzajemnego zaufania i przyjaźni.

Jakkolwiek w oczach męża, Polly uchodziła za osobę o wiele od niego wyższą umysłowo, wyższość ta polegała głównie na owéj delikatności i sile uczucia, która przy braku wykształcenia, daleko się łatwiéj u kobiety, niż u mężczyzny rozwija. Dusza ta pierwotna mieściła w sobie równie szlachetne, jak głębokie uczucia, których odblaski tryskające nieraz na zewnątrz, mogły były stać się dobroczynnem światłem dla umysłu Dombeya. Ale dumny ów umysł gardził dzisiaj podobną nauką; kiedyś dopiero może ją pozna w błyskach gromu, który w tem życiu każdego potrafi dosięgnąć.

Ale nie wyprzedzajmy biegu zdarzeń, których opowiadanie wzięliśmy na siebie. Jak na teraz, głównem zadaniem Polly, było podtrzymywać i wzmacniać dobre usposobienie Zuzi, oraz wynaleźć sposób widywania Florci, bez narażenia się na nieukontentowanie jéj ojca. Sposobność do tego nastręczyła się mamce tegoż samego wieczoru.

Kiedy o zwykłéj godzinie, zawezwana odgłosem dzwonka, udała się z dzieckiem na ręku do pańskich pokojów i tam odbywała codzienną przechadzkę, ku jéj wielkiemu zdumieniu i trwodze, Dombey zbliżył się ku niéj i — co dotąd nigdy nie bywało — przemówił w te słowa:

— Dobry wieczór, Richards.

Widziała przed sobą tę samą postać sztywną i surową, któréj pierwsze wrażenie było dla niéj tak przykrem; pod zimnym promieniem tego dumnego wejrzenia, oczy jéj mimowolnie spuściły się ku ziemi, podczas gdy odpowiadała głębokim ukłonem.

— Jakże się miewa Paweł? spytał Dombey.

— Wybornie, proszę jaśnie pana, z dniem każdym go przybywa.

— To prawda, wyraźnie już podrasta, odrzekł Dombey, przypatrując się uważnie drobnéj istotce, którą mamka odkryła, żeby mu ją lepiéj pokazać, ale zarazem usiłując nie okazywać zbytniego nią zajęcia. Czy ci na niczem tu nie zbywa? dodał po chwili.

— O nie, odpowiedziała, dziękuję bardzo jaśnie panu.

Słowa te wyrzekła jednak Polly z tak wyraźnem wahaniem się i zakłopotaniem, że Dombey, który już zabierał się do odejścia, wrócił i ponowił swoje zapytanie.

— Mnie się zdaje, proszę jaśnie pana, rzekła Polly zdobywając się na wszelką możliwą odwagę, że nie ma nic zdrowszego i lepszego dla dzieci, jak być z innemi dziećmi i bawić się z niemi.

— O ile sobie przypominam, odpowiedział Dombey marszcząc brwi, to kiedy się godziłaś do mojego domu za mamkę, zawarowałem sobie, żebyś swoje dzieci jak najrzadziéj widywała. Zapewne o tem pamiętasz. Teraz możesz kończyć swoją przechadzkę.

To powiedziawszy, wyszedł zostawiając Polly wielce strapioną tem, że mu się daremnie naraziła, nie dawszy nawet poznać swoich chęci.

Kiedy następnego wieczoru mamka weszła z dzieckiem do pokoju Dombeya, zastała go przechadzającego się. Było to rzeczą tak niezwykłą, że Polly stanęła w miejscu przy drzwiach, nie mając odwagi naprzód postąpić. Dombey przywołał ją do siebie i rozpoczynając rozmowę, tak jakby nie była od wczorajszego dnia przerwaną, rzekł sucho:

— Jeśli uważasz, że w istocie to dziecko potrzebuje tego rodzaju towarzystwa, to można sprowadzić Florę. Gdzie ona?

— Nic by nie było lepszego, odparła z żywością Polly; właśnie tego życzyłam, żeby panna Flora przychodziła do brata, ale mi powiedziano że to nie wolno...

Dombey zadzwonił, potem jął się przechadzać w milczeniu. Gdy wszedł służący rzekł do niego:

— Powiedz, że kazałem żeby panna Flora przychodziła do pokoju pana Pawła, ilekroć Richards tego zażąda. Może też z nią chodzić na przechadzkę. Dzieci mają być razem, powiedz że tak rozkazałem.

Jakkolwiek zawsze bardzo przerażona obecnością Dombeya, Polly korzystając z dobréj chwili, odważyła się dorzucić słów kilka i poprosiła, aby przysyłano do niéj Florcię jak najczęściéj, żeby się nauczyła kochać braciszka.

Dombey nic już na to nie odpowiedział. Gdy służący wyszedł, mamka przechadzając się z dzieckiem na ręku, przypatrywała się ukradkiem Dombeyowi. Zdało się jéj że twarz jego pobladła i że wyraz jéj był zmieniony. Nawet razu jednego zatrzymał się znagła, jakby chciał przywołać znowu służącego i cofnąć dany rozkaz, ale potem odstąpił jak się zdawało od tego zamiaru.

Polly nie myliła się w swoich przypuszczeniach. Kiedy Dombey widział po raz ostatni córkę, trzymała w objęciach konającą matkę, a siła tego uścisku zdrad zała gorzki wyrzut, którego wrażenie dotąd się w sercu ojca nie zatarło. Jakkolwiek wszystkie Dombeya myśli skupiały się obecnie na tym synu, na którym tak świetne pokładał nadzieje, nie umiał zapomnieć owego ostatniego pożegnania, w którem pomiędzy matką a córką, nie znalazło się miejsca dla niego, i mimowolnie patrzał na te dwie twarze tulące się do siebie i zaglądał w te dwie dusze, których głębie pełne miłości rozjaśnił mu błysk jeden, podczas gdy on, stojący na uboczu, przypatrywał się niby człowiek obcy, tym uciechom które nie miały być jego udziałem.

Ani siła woli Dombeya, ani przemoc jego dumy, nie zdołały go oswobodzić od tych natrętnych i chmurnych wspomnień. Ztąd dawniejsza obojętność jego względem córki, przeistoczyła się stopniowo w dziwne jakieś, a wielce przykre usposobienie. Zdawało mu się, że to dziecię go śledziło, że umiało go odgadnąć i czytać w jego duszy, że tam odkryło ważną jakąś tajemnicę, któréj wyraźnie on sam nie umiał określić, i że skoro raz natrafiło na ową strunę niestrojną, za lada tknieniem mogło z niéj wydobyć dźwięki coby ją zdradziły.

Przedtem, Dombey nie czuł wprawdzie przywiązania do córki, ale też nie miał do niéj wstrętu; teraz, obecność jéj wprawiała go w dziwny stan niepokoju, przy niéj czuł się mniéj swobodnym, chciałby był módz o niéj nie myśleć, zapomnieć o niéj zupełnie. Któż zbada tajemnice duszy człowieka? może ów ojciec lękał się, by kiedyś nie znienawidził własnéj córki.

Kiedy Florcia weszła nieśmiało do pokoju, Dombey przerwał przechadzkę, którą systematycznie odbywał po określonéj przestrzeni i spojrzał na córkę. Gdyby to spojrzenie, choć trochę więcéj było ojcowskiem, odgadłoby z pewnością żywe wzruszenie i trwogę dziewczynki, wyczytałoby w jéj wymownem oku, gorącą chęć rzucenia się z serdeczną pieszczotą na szyję ojcu i zawołania z płaczem: Kochaj mię ojcze, bośmy sami na świecie! Ale tymczasem Florcia, stała w miejscu milcząca i nieruchoma; obawa, że zostanie odepchniętą, powstrzymywała wszelki objaw jéj czułości i tłumiła w sercu uczucia, które gwałtem się z niego dobywały.

Dombey wszelako nic z tego nie odgadnął. Widział córkę stojącą przy drzwiach z wyrazem niepewności i z oczami w nim utkwionemi, ale z tych oczu nic nie umiał wyczytać.

— Wejdź że Floro, rzekł chłodno. Czemuż nie wchodzisz? Czego się lękasz?

Postąpiła parę kroków, rzucając wkoło wzrok nieśmiały, potem stanąwszy, złożyła rączki zaciskając je silnie.

— Chodź tu Floro — rzekł zimno ojciec. Czy wiesz kto jestem?

— Wiem ojcze.

— Cóż mi tedy powiesz?

Na to zapytanie, łzy które błyszczały w oczach dziewczynki, podczas gdy na ojca patrzała, znikły jakby je chłodny powiew osuszył, i wzrok jéj spłynął ku ziemi. Po chwili podała ojcu rączkę.

Wziął ją obojętnie i popatrzał na Florcię, jakby i on także nie bardzo wiedział, co mu wypada zrobić lub powiedzieć w tym razie.

— No, bądź grzeczna i pójdź się pobawić z bratem, rzekł wreszcie dotykając ręką głowy Florci i rzucając na nią spojrzenia roztargnione, a zarazem jakby podejrzliwe. Idź, dodał, Richards się z tobą pobawi.

Florcia zawahała się przez chwilę, — może chciała rzucić się ojcu na szyję, może czekała od niego uścisku. Oczy jéj w nim były utkwione, ale on w nich to tylko zauważył, że miały tenże sam wyraz co owéj pamiętnéj nocy, wtedy gdy w twarz lekarza patrzały... Tak, ten sam najzupełniéj... Dombey puścił rękę córki i odszedł.

Niepodobna było nie dostrzedz, iż w obecności ojca, Florcia przedstawiała się w sposób najmniéj korzystny. Nie tylko umysł jéj, ale nawet i ruchy traciły wtedy wrodzony wdzięk i swobodę. Polly widziała to wzajemnie niechętne ojca i córki usposobienie, niemniéj jednak żywiła nadzieję zaprowadzenia z czasem lepszych, pomiędzy niemi stosunków. Już to samo, że odtąd mieli częściéj się widywać, dodawało jéj niemało otuchy. Żałobne sukenie sieroty posiadały zresztą wymowę, na wpływ któréj Richards liczyła także niemało. Jakże to boleśnie pomyśleć, mówiła sobie, że z tych dwóch sierotek, on jedną tylko kochać umie, kiedy druga właśnie może bardziéj od tamtéj jest osieroconą!

Polly zatrzymała jak tylko mogła najdłużéj Florcię przy sobie; za jéj staraniem, Paweł okazał się wyraźnie weselszy i bardziéj ożywiony w towarzystwie siostry. Kiedy czas już był mamce odejść z dzieckiem do siebie, chciała żeby Florcia poszła do gabinetu ojca oddać mu dobranoc, ale niepodobna ją było do tego nakłonić. Strwożona i zmieszana, wypraszała się wszelkiemi sposoby; wreszcie gdy Polly bardziéj na nią nalegała, zawołała chowając twarz w dłonie, jakby się własnych słów wstydziła:

— O nie, nie pójdę — on mnie nie potrzebuje — on mnie wcale nie potrzebuje!

Małe to zajście zwróciło uwagę Dombeya, który ze swego pokoju zapytał o co chodziło.

— To panna Flora obawia się pójść oddać dobranoc jaśnie panu, rzekła Polly.

— Daj jéj pokój Richards, odrzekł Dombey, może tu przychodzić i odchodzić nie zważając na mnie.

Na te słowa, lekki dreszcz przebiegł członki Florci i zanim się Polly obejrzała, już jéj nie było w pokoju.

Bądź co bądź, to co się w tym dniu dało od Dombeya uzyskać, nie małą już stanowiło wygranę. Poczciwa mamka niemiała nic pilniejszego jak pochwalić się przed Zuzią, zręcznością z jaką przeprowadziła ową ważną sprawę. Ale ku wielkiemu jéj zdziwieniu, imć panna Nipper przyjęła bardzo chłodno ten dowód zaufania.

—Sądziłam, że się tem panna razem ze mną ucieszysz, rzekła Polly.

— No tak, zapewne — bardzo się cieszę, wycedziła przez zęby Zuzia.

— Nie wygląda coś na to, odparła mamka.

— Cóż się mam wtrącać w nie moje sprawy? Albož, to ja co znaczę w tym domu? Tutaj zawsze nowe sitko na kołek — a kto dawniejszy, niech w kąt sobie idzie. Zrozumiałaś to pani i dobrze ci z tem, ale widzisz mam i ja głowę na karku i z pewnością nie dam się zjeść w kaszy nikomu.

To rzekłszy, Zuzia odeszła zadąsana, zostawiając poczciwą Polly wielce zdziwioną jéj gniewem.

IV.

Pojawienie się wielu nowych aktorów na scenie.

Dom handlowy firmy Dombey i Syn znajdował się w dzielnicy stanowiącéj stare miasto Londynu, w samym środku gwarnego ruchu, tego potężnego ogniska przemysłu i bogactw Anglii. Tuż obok była giełda, niedaleko bank ze swemi sztabami złota i srebra, spoczywającemi niby zmarli w grobowcach, w sklepionych podziemiach, a na zakręcie sąsiedniéj ulicy, zarząd Kompanii Wschodnio-indyjskiéj, przywodzący na myśl nieprzebrane skarby, drogocenne klejnoty, makaty i kobierce, wspaniałe pustyni zwierzęta i bajecznych bogactw nababy. Wokoło na szyldach, wszędzie było widać wyobrażenia okrętów odpływających na wszystkie świata strony, a w sklepach same przybory do dalekich podróży, nagromadzone tam w takiéj liczbie i rozmaitości, że zabawiwszy w nich przez chwil kilka, mógłeś wyjść gotów do wyprawy naokoło świata; tu i owdzie stojąca w sklepowéj wystawie lalka w wysarzanem ubraniu miczmana, oznaczała skład narzędzi optycznych i przyrządów służących dla żeglarzy.

W jednym takim sklepie, odznaczającym się sztywną i szpetną powierzchownością miczmana wyglądającego zeń na ulicę, stary gentleman w peruce przechadzał się poważnie, pośród niesłychanego mnóstwa teleskopów, kompasów, chronometrów, bussoli i nie wiedzieć ilu jeszcze gatunków narzędzi, których był jedynym i samowładnym panem.

Właściciel owego zakładu spoglądał wokoło siebie z pewną dumą, poniekąd usprawiedliwioną porządkiem i systematycznością panującą w jego sklepie. Narzędzia szklanne lub mosiężne spoczywały tam na półkach i w szufladach, poukładane w pudełkach, gdzie każde tak kunsztownie zostało pomieszczone, że zabierając jak najmniéj miejsca, wybornie jednak było zabezpieczone od wszelkiego tarcia z sąsiedniemi przedmiotami. Całość sklepu nosiła tąż samą cechę porządku; wszystko tam było ciasno a porządnie spakowane; rzekłbyś okręt już naładowany, we wszelkie potrzeby zaopatrzony i czekający tylko rychło się pomknie ku nieznanym wybrzeżom, aż na świata gdzieś krańce.

Inne szczegóły powszedniego życia właściciela owego zakładu, przystawały także do tego porównania. Ponieważ miał po większéj części znajomych pomiędzy dostawcami zapasów i przyrządów służących okrętom, widziano u stołu jego obfitość sucharów rozmaitego wyrobu, mięsiwa solonego i wędzonego, a także suszonych jarzyni owoców. Wszystkie te zapasy, zakupywane hurtem, bywały podawane w wielkich słojach ozdobionych kartką z nazwiskiem kupca i dodatkiem: *wyrabiający wszelkie konserwy i zapasy dla okrętów.* Wódki i likiery mieściły się w butelkach bez szyjek, przypominających życie na pokładzie i żeglarskie nawyknienia. Po ścianach, wszędzie stare ryciny wyobrażające słynniejsze okręty, z odsyłaczami w porządku alfabetycznym, objaśniającemi każdy ich szczegół. Na srebrnych stućcach, w miejscu cyfry napotykałeś fregatę Tartarus z rozwiniętemi żaglami. Komin zdobiły muszle rzadkie, mchy i rośliny z dalekich krain, wreszcie pokoik od tyłu po za sklepem, przypominał wyraźnie kajutę swem małem okienkiem, opatrzonem drobnemi szybkami.

Stary Salomon Gills, częściéj nazywany starym Solem, żył sobie tedy w owym sklepie, niby kapitan na pokładzie swego okrętu, mając za jedynego towarzysza siostrzeńca swego Waltera, czternastoletniego wyrostka, wyglądającego nawet dosyć na miczmana, właśnie jakby i on był powołany mieć udział w uzupełnieniu złudzenia, na które wszystko się tu składało. Jeden wszelako szczegół psuł w tym razie ogólną harmonię; była nim postać Salomona, bynajmniej na marynarza nie wyglądającego. Nie mówiąc już o jego peruce najdziwaczniéj w świecie poplątanéj i powichrzonéj, same ruchy powolne i mowa spokojna starca, odsuwały wszelką myśl przyrównania go do korsarza. Był to człowiek poważny i stateczny, wyrażający się z pomiarkowaniem, a mający oczy tak czerwone, że wyglądały jakby dwa maleńkie słońca, przysłonione mgłą gęstą. Zdawało się, patrząc na niego, że ten człowiek tylko co się obudził, lub też że zmęczywszy wzrok na probowaniu wszystkich swoich szkieł i lunet, widzi wszystko zielono lub żółto wokoło siebie. Jedyna przemiana jaką można było niekiedy zuważyć w jego powierzchowności, wypadała w porze, gdy odnawiał swoje ubranie złożone z fraka o szerokich połach; barwy kafowéj, z błyszczącemi guzikami i jasnych spodni nankinowych. U koszuli miewał wielce sztywne żaboty, a na nosie okulary w ciężkiéj oprawie; w kieszeni zaś nosił ogromny chronometr, w którym pokładał większe zaufanie, niżeli w jakimkolwiek innym na świecie zegarku, a może nawet większe niźli w samem słońcu.

Takim był Salomon Gills; od lat już wielu widywano go zawsze jednakowym, przechadzającym się przez dzień cały wzdłuż i wszerz po swoim sklepie, w obecności drewnianego miczmana, wieczorem zaś zamykającym zakład zawsze o jednéj godzinie, aby się udać na spoczynek w odległy zakąt domu do nędznéj izdebki pod strychem, gdzie wicher szalone harce wyprawiał, podczas gdy lokatorowie zajmujący wygodne pomieszkania sfer niższych, ani się domyślali tego, co się dzieje na dworze.

W chwili, gdy zabieramy znajomość z Salomonem, nieomylny chronometr, któremu się on właśnie przypatruje, oznacza godzinę wpół do szóstéj. Chmurny dzień jesienny ma się ku schyłkowi, gwar codzienny już się ucisza w Starem mieście i Sol uważa, że tłum poczyna się przerzadzać. Wszystkie jego barometry poopadały, pewnie deszcz będzie padał w nocy, — oto nawet i już pada, bowiem widać wyraźnie parę drobnych kropelek błyszczących na wygiętych brzegach kapelusza drewnianego miczmana.

— Gdzie się też obraca Walter? mówił do siebie stary Sol, wkładając starannie do kieszeni szacowny chronometr. Objad już czeka od godziny, a tego chłopca ani widać.

Nie wstając z krzesełka na którem siedział za sklepowym stołem, Gills zwrócił się ku oknu, aby po przez liczne narzędzia na nim ustawione wypatrzeć rychléj nadejście siostrzeńca. Ale nie było go widać pod żadnym z parasoli, które przechodziły kiwając się przed sklepem, a w miejsce jego twarzy pokazała się tylko przed oknem ubrana w starą skórzaną czapkę głowa roznosiciela gazet, który zatrzymał się był na chwilę, aby palcem napisać swoje imię na szybach.

— Gdybym nie znał przywiązania tego chłopca do mnie, rzekł Salomon poprawiając ostrożnie w przechodzie parę barometrów, — lękałbym się czy nie czmychnął gdzie w świat na jakim okręcie. Wyraźnie, zabiera się na słotę. Wilgoć w powietrzu, będzie deszcz; a może też i potrzebny. Tak — lękałbym się o tego urwisa, bo i cóż mu nowego okręt? Albož to nie kajutę mamy za sklepem, a tu może nie pokład?

— Wujaszku! jestem! zawołał głos młodociany.

— A! to ty mój chłopcze — rzekł zwracając się żywo stary Sol; skądże mi się wziąłeś?

Nowo przybyły był to przystojny chłopak z twarzą wesołą i ożywioną, z jasnem wejrzeniem i obfitym włosem, całkiem w téj chwili mokrym od deszczu.

— A co wujaszku? —bieda była beze mnie, wszak prawda? zawołał wesoło. Ale czy już jest objad? bo, co prawda, głodny jestem, że aż zgroza.

— Patrzcie no go! ten ladaco myśli, że bez niego nic się nie zrobi, rzekł Salomon całkiem rozpogodzony; a tu tymczasem bez ciebie chłopcze, lepiéj jeszcze się wszystkiemu zaradziło jak z tobą. Objad już czeka Bóg wie odkąd, a co do apetytu to i mnie go nie braknie.

— No, to chodźmy wujaszku — zawołał ochoczo Walter. Chodźmy i hurra na cześć naszego admirała!

— Jakiegoż u djabła admirała? chcesz chyba powiedzieć: na cześć lorda majora!

— Ale nie — albož nie jesteśmy na pokładzie? a więc hurra dla naszego admirała, i naprzód! a raźno!

Na tę komendę, poważna peruka wraz z tym który ją dźwigał, udała się bez oporu do izdebki od tyłu, tak uroczyście, jakby za sobą wiodła całą osadę okrętu i po chwili stary Sol i jego siostrzeniec zasiadłszy u stołu, zajadali smaczno rybę smażoną, ciesząc się zawczasu nadzieją bifsztyku mającego drugie danie stanowić.

— A więc na cześć lorda majora Walterze! Wszakże to nasz admirał.

— Jaki on zaś admirał, wujaszku? Tamten, to ma przynajmniéj pałasz nie od saméj parady.

— Wiele mu z tego przyjdzie! Ale dajno temu pokój Walterze, a posłuchaj co ci powiem. Czy widzisz — co tam jest na ścianie nad kominem?

— No widzę. To mój srebrny kubek, ale kto go tam zawiesił?

— Ja, mój chłopcze. Odtąd już nie kubkiem pić będziesz, ale szklanką, boś już mężczyzną. Od

dnia dzisiejszego pracujesz, masz udział w ruchu handlowym tego miasta, — słowem od dzisiaj w życie dorosłego człowieka wstąpiłeś.

— Zgoda na to, wujaszku, będę pił z czego rozkażesz, wszystko mi to jedno, bylebym mógł pić zdrowie twoje. Zatem zdrowie kochanego Wujaszka — i hurra!...

— Na cześć lorda majora — przerwał stary Sol.

— Niech i tak będzie — Na cześć lorda majora, szeryfów, rady miejskiéj i cechowych. Daj im Boże zdrowie i najdłuższe lata!

Starzec pokiwał głową z wyraźnem zadowoleniem, potem rzekł:

— A teraz, pomówmy trochę o domu, w którym pracujesz.

— Niewiele tam co jest o nim powiedzieć, odrzekł Walter, nie przestając smaczno zajadać. Ot, kantor jak każdy inny. Cały szereg ciemnych sal stanowiących biura; w téj w któréj siedziałem komin z wysoką kratą i potężna kassa żelazna, na ścianach różne ogłoszenia z wyobrażeniem okrętów z rozwiniętemi żaglami, na stołach przewodniki i kalendarze handlowe; butelka z atramentem na półce obok książek, parę krzeseł, parę pulpitów, oto i wszystko — wszędzie po kątach pajęczyny co nie miara. Ale — jeszcze na półeczce, tuż przed moim pulpitem, jakaś flaszka błękitna, taka przykurzona, że chyba od wieków tam stoi.

— I nic więcéj? zapytał stary.

— Nic wujaszku — ale prawda — jeszcze klatka jakaś, co się nie wiedzieć zkąd tam wzięła i koszyk do węgla.

— Czyż nigdzie tam nie widać rejestrów ani ksiąg, ani żadnego śladu tych ogromnych bogactw, które tamtędy co dnia przepływają? spytał Gills patrząc na siostrzeńca, jakby z po za mgły owéj, która zdawała się wiernie go otaczać i wymawiając te słowa z pewnym naciskiem.

— No, musi tam być i tego podostatkiem, odparł niedbale Walter, ale to już gdzieindziéj zapewne; może w gabinecie pana Carkera, może u pana Morfina, albo też u samego pana Dombeya.

— Czy pokazał się dziś pan Dombey w biórach?

— A jakże—chodził tam i siam po salach, przez dzień cały.

— Ale pewnie nie zauważył ciebie?

— Właśnie że zauważył wujaszku. Podszedł ku mnie, a taki był zimny i poważny, że aż strach brał— i powiedział: Jesteś synem pana Gillsa, optyka marynarki? Jestem jego siostrzeńcem — odrzekłem. A on na to: „Powiedziałem: siostrzeńcem — młodzieńcze.“ Tymczasem mógłbym na to przysiądz że powiedział: synem.

— Sądzę że się w tym mylisz — zresztą, rzecz to małéj wagi.

— Zapewne że małéj — ale właśnie dla tego nie było o co się obrażać, i nie byłoby w tem grzechu, choćby i powiedział: synu. Potem dodał, że mu wujaszek mówił o mnie i skutkiem tego dał mi zajęcie w swojem biurze. Powiedział także, iż ma nadzieję że będę pilnym i pracowitym; potem poszedł sobie, —ale nie zdaje mi się jakoś, żebym mu bardzo przypadł do smaku.

— Chcesz powiedzieć, że ci on nie bardzo do smaku przypadł, zauważył stary Sol.

— A może i masz słuszność wujaszku — zawołał śmiejąc się Walter. Nie umiałem jakoś zdać sobie z tego sprawy.

Ku końcowi objadu, Salomon stał się spoważniał i stał się milczącym. W zamyśleniu swem podniósł niekiedy oczy na tryskającą zdrowiem twarz siostrzeńca, wreszcie gdy posługacz z sąsiedniéj traktierni, który przyniósł był obiad, już sprzątnął ze stołu, starzec zapalił stoczek i kazawszy Walterowi, aby mu poświecił, zeszedł po schodach do piwnicy. Tam poszukawszy czegoś przez chwil kilka, powrócił wreszcie z butelką bardzo zakurzoną i oplęśniałą w ręku.

— Cóż to wujaszek zamyśla robić? zawołał Walter, wszakże to ta wyborna madera, któréj mamy wszystkiego dwie butelki.

Stary Sol pokiwał głową, jak człowiek który wie dobrze co czyni, i odkorkowawszy butelkę w uroczystem milczeniu, nalał z niéj dwa kieliszki, trzeci zaś zostawił próżnym i butelkę obok niego postawił.

— Drugą wypijesz Walterze, rzekł, wtedy gdy się już dorobisz pieniędzy i ludzkiego szacunku, gdy droga na którą dziś wstępujesz, doprowadzi cię do szczęścia i dobrobytu, jak o to Boga proszę gorąco.

Wymawiając te słowa Gills, zdawał się mieć w gardle pewną część owéj mgły, która wiecznie wzrok jego przysłaniała, bowiem głos jego był ochrzypły, a gdy się trącał kieliszkiem z siostrzeńcem, ręka drżała mu wyraźnie. Z tem wszystkiem ręka owa doprowadziła szczęśliwie do ust kieliszek, a gdy go Gills wychylił, twarz jego przybrała wyraz błogiego zadowolenia.

— Wujaszku, rzekł Walter nadrabiając miną i niby obojętnie, jakkolwiek łzy drżały mu na rzęsach — za ten zaszczyt jaki mię spotyka, poproszę panna Salomona Gilsa, o pozwolenie wzniesienia po trzykroć jego zdrowia, a to z głośnem: niech żyje! Niech żyje drogi wujaszek! i niech mi powinszuje przy drugiéj butelce, gdy ją razem będziemy wypróżniać?

Tu się znowu kieliszkami trącili. Walter począł popijać wino po trochu, oglądając pod światło jego barwę i przybierając o ile mógł tylko, postać poważną i stateczną.

Wuj tymczasem przypatrywał mu się w milczeniu. Po pewnym czasie, gdy się ich oczy spotkały, rzekł jakby w dalszym ciągu rozpoczętéj rozmowy:

— Widzisz Walterze — sklep ten, to już dla mnie tylko nawyknienie. Z niemałą ciężkością przyszło by mi z nim się rozstawać, ale Bogiem a prawdą — nie ma już co tu robić. W czasie gdy ten mundur był nowy, dodał wskazując na drewnianego miczmana, można jeszcze było dorobić się grosza i nie jeden też, wtedy go się dorobił. Ale odtąd wiele się zmieniło, przybyło nie mało wynalazców i fabrykantów, a także i oszustów wyrabiających lichy towar wprawdzie, ale sprzedających go za psi pieniądz... Dajże tu sobie rady z kupimi! Nie moja na to głowa, jam nie dzisiejszy kupiec; zostałem się z tyłu i ani wiem nawet, gdzie się podzieli ci co dawniéj u mnie kupowali.

— Pal ich licho wujaszku! nie warto się niemi turbować.

— Oto naprzykład, ciągnął daléj Salomon — odkąd wróciłeś do domu skończywszy szkoły — a jest temu dni z dziesięć — zdaje mi się, że jedna tylko osoba weszła do tego sklepu.

— Dwie, wujaszku, przypomnij tylko sobie. Wszakże zaszedł tu człowiek, który prosił o zmianę gwinei?

— Właśnie o nim mówię — odparł Gills.

— Jakto, wujaszku — więc kobiety nie liczysz za osobę? Bo przecież była tu także owa pani, która pytała o drogę do Mill and Turnpike.

— Ach prawda! zapomniałem o niéj na śmierć. Tak—masz słuszność—zaszły do sklepu dwie osoby.

— Tylko że żadna z nich nic a nic nie kupiła.

— Nic — nic zgoła — odpowiedział spokojnie stary Sol.

— I nawet pewnie niczego nie potrzebowały.

— Tak było bez wątpienia, bo gdyby co chciały kupić, byłyby zaszły do innego sklepu, rzekł Salomon z tymże samym spokojem.

— W każdym jednak razie, było ich dwie, nie zaś jedna, jak dowodziłeś wujaszku — rzekł zwycięzko Walter.

— To wszystko dobrze, mój chłopcze, rzekł stary po chwili milczenia; ale ponieważ nie żyjemy jak dzicy ludzie z wyspy Robinsona, tedy nie potrafimy żadną miarą się utrzymać z zarobku, jaki nam da człowiek przychodzący prosić o zmianę gwinei, lub też kobieta pytająca o drogę do Mill and Turnpike. Mówiłem ci to, świat dzisiejszy mię wyprzedził, nie żalę się na to, ale wyznaję, że nie umiem go rozumieć. Wszystko teraz inne jak dawniéj, zmienili się kupcy i subjekci, zmienił się handel, a także i towar; większa część tego co mam w sklepie wyszła z mody i zestarzała się. Podobnież i ja się zestarzałem w tym sklepie, który sam zestarzał, a nawet i ulica, na któréj się on znajduje, nie to już co dawniéj. Tak mój chłopcze, świat mię wyprzedził, a jam za stary żeby go dogonić, bo już sam gwar jego, który słyszę zdaleka, mięsza mię i myśli moje zamąca.

Tu Walter chciał się odezwać, ale go wuj zatrzymał skinieniem ręki:

— Z tych więc powodów, ciągnął daléj, pragnę, abyś zawczasu rozpoczął twój zawód, tym bowiem sposobem będziesz miał możność obznajomić się dokładnie z dzisiejszym światem, z jego handlem i przemysłem. Co do mnio, zaledwie już dziś cieniem jestem tego czem byłem, handel mój to także cień tylko, — a cień ten wraz ze mną zniknie, bo właściwie i teraz zakład ten już nie istnieje. Ale w braku innego spadku, chce ci chociaż zostawić moje doświadczenie, to jedno co jeszcze z siebie posiadam. Są ludzie, którzy mnie mają za bogatego, radbym aby się nie mylili, w każdym razie jednak pewniejszy majątek cię czeka na drodze, którą ci obrałem. Raz umieszczony w takim domu jak ten w którym dziś jesteś, dasz sobie zawsze rady, bylebyś pracował gorliwie i z zamiłowaniem twego zawodu. Tak postępując, pozyskasz z czasem niezależność a zatem i szczęście prawdziwe.

— Zrobię wszystko co tylko w mojéj mocy będzie, aby stać się godnym twego przywiązania, kochany wuju, odpowiedział młodzieniec z wyrazem stanowczego postanowienia.

— Nie wątpię o tem, odparł Salomon, nalewając sobie drugi kieliszek wina, które tą razą zdawało się jeszcze lepiéj mu smakować.

—Co się zaś tyczy morza, ciągnął daléj to widzisz mój chłopcze, wygląda ono co prawda, daleko lepiéj w wyobraźni, niżeli w rzeczywistości. Nie zda się tobie ono na nic, choć zkądinąd rozumiem, żeś nieraz do niego zatęschnił, chowając się wśród tylu rzeczy będących z niem w związku. Ale wierzaj mi, wcale czego innego dla ciebie potrzeba.

Mówiąc to, Salomon spoglądał wszelako wokoło siebie z pewnem upodobaniem i zacierał ręce z tajoną radością, jaką mimowoli uczuwał, ilekroć miał sposobność wspomnieć o morzu.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH
PRZEZ
Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

Tak przebrany, myśląc, że już skrył dobrze czuprynę ojcowską, pod pudrowaną peruką, Soval zaczął pomalutku i pocichutku wkradać się na dwór. Ale J. K. Mość niedarmo nosił przezwisko Nasone. Poczuł od razu intruza, kazał mu zamknąć wszystkie drzwi przed nosem w swoich pałacach, zostawiając mu zresztą zupełną wolność.

Ale młody wieśniak nie po to przyszedł do Palermo, żeby się chwalić swoją osobą, ale po to żeby się dostać do dworu. Powiedział sobie, że musi być dworzaninem królewskim i szlachcicem, ponieważ król Nasone, nie chce na to przystać dobrowolnie, to zdobędzie miejsce przemocą.

W swe czasy nie brakło do tego środków. Właśnie kardynał Ruffo (¹) zbierał ochotników do odzyskania Neapolu. Młody Soval już przywykły do metamorfozy, łatwo zmienił pańskie suknie na żołnierski kaszkiet. Mógł dodać do tego karabin, pałasz i ładownicę i zdobyć sobie głośne imię na wojnie. Ale dziedziczną cnotą Neodadów była roztropność. Droga z Sycylji do Neapolu długa i niebezpieczna; Bóg wie co się może na niéj przytrafić, zresztą przypomniał sobie przysłowie: co z oczów to z myśli. Postanowił zatem zostać przy boku N. Państwa, jak najbliżéj ich serca.

Wiadomo wszystkim, że król Nasone był królem ale królowa Karolina rządziła. Ponieważ królowa nie mogła się przebierać jak Harun-al-Raszyd, żeby się dowiedzieć, co mówią poddani o jego rządach, to sobie narobiła różnych korespondentów, którzy zdawali jéj dokładnie sprawę z tego wszystkiego, czego sama nie mogła widzieć. Na nieszczęście, sprawozdawcy ci nie chcieli darmo się fatygować. Królowa musiała im płacić znaczne sumy z własnéj szkatuły. Młody Soval, który bardzo ładnie pisał, a do wojska nie miał najmniejszéj ochoty, odgadł że na téj drodze znajdzie świetną przyszłość. Podał prośbę o przyjęcie go między owych korespondentów, został przyjęty i w przeciągu trzech miesięcy, tak się odznaczył pojętną przebiegłością, że mu wyznaczono stałą pensję, bo dotąd płacony był od sztuki.

Młody Soval o mało nie oszalał z radości, bo skoro koresponduje z królową, to wszelkie zawady muszą już ustąpić. Podwoił gorliwość, a ponieważ miał słuch ostry, niezmiernie ważne wyświadczał usługi. Ale królowa, chociaż była wszechwładną panią, radziła się zawsze męża, kiedy szło o kwestje etykiety. Prosiła go tedy, żeby Sovalowi udzielił pozwolenie bywania u dworu. Król Nasone, usłyszawszy to nazwisko, którego tak niecierpiał, dał susa jak postrzelona sarna i wręcz odmówił. Nic nie pomogły ani prośby ani groźby, klątwa wisiała nad Sovalem ciągle.

Nastąpiła restauracja r. 1779. Była to epoka strasznych kar, ale i wielkich nagród. Młody mieszczanin, dał nowy i smutny dowód swojego przywiązania do N. Państwa, bo porzucił swoją ojczyznę Sycylję i popłynął za dworem do Neapolu. Wtedy to, przekonany, że już dosyć zrobił poświęceń, postanowił sam sobie dać to czego mu odmówiono. Kiedy Napoleon wyrzucił jedną literę ze swojego nazwiska, to Soval dodał dwie do swojego i odtąd nazywał się de Soval.

Przybywszy do Neapolu pełnił ciągle obowiązki korespondenta, z tą różnicą, że kiedy niekiedy widywał się osobiście z królową i ustnie zdawał jéj swoje raporta. Bohater nasz myślał, że dopiął wreszcie celu; rzeczywiście, żeby zdawać sprawę ze swojéj czynności królowéj, de Soval musiał być i u króla. Prawda, że musiał wchodzić bocznemi schodami, któremi tylko służba wchodziła, ale zawsze był to już wielki awans. Chodziło teraz tylko o to, żeby wejść do królewskiego pałacu wielką bramą nie skrytą, w dzień nie w nocy. Los jednak strasznie się na niego zawziął! przez całe siedem lat, mimo wstawiania się krolowéj, wielka brama nie otworzyła się przed nim.

Nawet święty straciłby cierpliwość! Biedny chłopak wpadł w rozpacz i smutek, kiedy mu królowa nie wiem już który raz oświadczyła, że nie mogła nic wskórać u męża. Postanowił zatem pójść w świat, jak owi błędni rycerze i dokonać gdzie tak wielkiego czynu, że król nie będzie mógł odmówić mu tego, o co go od tak dawna nadaremnie błagał.

Roku Pańskiego 1808 nowy ten Don Kiszot wyprawił się szukać przygód. W owéj epoce nie trzeba było daleko ich szukać. Zaraz w Wenecji zdarzyła mu się odpowiednia jego życzeniom, awanturka.

Była wtedy w Wenecji pani S. rodem niemka, ale krewna najsławniejszego angielskiego admirała. Pani ta była uwięzioną we własnym domu i pilnie strzeżoną przez Francuzów, jako drogiéj wartości zakład.

Soval postanowił ją, uwolnić.

Nie było to łatwą rzeczą, chociaż nasz paladyn był zwinny i przebiegły!

Napoleon trudny był wtedy do zwyciężenia; ale nasz bohater, tak dobrze był obznajomy ze skrytemi wejściami, że kręcąc się ciągle około domu pani S. odkrył jedno wyjście, wychodzące na małe kanały, przerzynające Wenecję. W trzy dni potem wydostał tamtędy uwięzioną. Nazajutrz byli już w Tryeście, w trzy dni potem w Wiedniu; a w piętnaście w Sycylii, gdzie król Nasone bawił znowu, bo Józef Bonaparte siedział na jego tronie.

Błędny rycerz stanął śmiało przed królową. Tym razem nie wątpił już o tem, że wielka brama otworzy się wreszcie przed nim. Sama królowa niosła wielką nadzieję, bo protegowany jéj wykradł Francuzom bardzo ważną osobę i dla tego ośmieliła się prosić króla o tytuł margrabiego dla pana de Soval.

Na nieszczęście, król był tego dnia w bardzo złym humorze; przyjął tedy kwaśno ukochaną małżonkę i na pierwszy wyraz wymówiony przez nią po co przyszła, odprawił ją tak po grubiańsku, jak mu się to może nigdy nie przytrafiło dotąd. To niepowodzenie tak ją zmitrężyło, że z wielkim żalem oświadczyła swojemu protegowanemu, że nie może nic dla niego zrobić i że, jeżeli ma nieprzezwyciężone powołanie, do tego żeby być margrabią, to niech sobie szuka innéj drogi do otrzymania téj godności.

Nie było nic do odpowiedzenia na to, bo królowa robiła co mogła.

Pan de Soval nie miał urazy do niéj; służył jéj ciągle jak pierwéj, ale czasami zaglądał także do ambasady angielskiéj. Poseł angielski był wtedy przemożnym w Sycylji, de Soval miał nadzieję, że przez niego dostanie to, czego nie mógł otrzymać przez królowę. Powiadano nawet, że to sama królowa doradziła mu ten manewr.

Mimo to zdwojenie sił i usług, kandydat do margrabstwa, dalekim był jeszcze od swojego celu. Przez sześć lat A'Court ambassador angielski nie mógł wydostać od króla pantentu na margrabiego. Nastąpiła druga restauracja, Anglja łożyła na nią, a że Anglia nic darmo nie robi, to zaledwie król Nasone powrócił do swojego wiernego miasta Neapolu, które do dziś dnia zachowało ten tytuł, mimo dwudziestu sześciu rewolucji przeciw wicekrólom i królom, Anglja podała królowi rachunek, a A'Court, korzystając z téj okoliczności, wsunął między rozmaite nagrody rozmaitym osobom, mające się rozdać, te kilka słów: Pan de Soval będzie mianowany margrabią. Ale instynkt ma oczy ostrowidza. J. K. Mość, który jak wiadomo, nie lubił żadnych raportów i papierów, a podpisywał wszystko, nie czytając wcale, poczuł w rachunku, podanym mu przez swoją przyjaciółkę Wielką Brytanję, jakąś woń parwenjusza. Chcąc się przekonać zkąd to pochodzi, trafił od razu na artykuł, tyczący się pana de Soval.

Na ten raz nie można było odmówić. Król Nasone chcąc dać poznać, że gwałtem wymożono na nim tę nominację pod wyrazem *Zgodno* dopisał własną ręką co następuje:

„Jedynie dla tego, żeby dać dowód szacunku i poważaniu dla swojego przyjaciela, króla Wielkiéj Brytanji.“

Owóż pan de Soval został margrabią. Odtąd niczego już sobie więcéj nie życzył. Z nowym swoim tytułem wszędzie miał wstęp, wszystkie drzwi się przed nim otwierały, wyjąwszy jednych, to jest wielkich podwoi królewskiego pałacu, do których napróżno pukał przez dwadzieścia lat. Ale margrabia de Soval nie prędko się zrażał, jak widzimy z tego opowiadania, nie zraził się też nowym zawodem i łamał sobie głowę nad tem; jakimby sposobem mógł się dostać do tego zaklętego Edenu.

Świetny karnawał 1816 r. zdawał mu się jak raz do tego. Nowy margrabia, dzięki stosunkom z królową, zbliżył się do wszystkich, najbardziéj arystokratycznych rodzin w Neapolu. Zaproponował więc bogatéj i wysoko urodzonéj młodzieży, żeby wyprawić świetny karuzel przed oknami królewskiego pałacu. Propozycja była z okrzykami przyjętą i polecono urządzenie téj zabawy margrabiemu. Karuzel był przepyszny, całe wyższe towarzystwo biegło oglądać go, jedna tylko osoba w Neapolu nie chciała go widzieć pod żadnym pozorem. Tą osobą był król, bo się dowiedział że organizatorem jego był margrabia de Soval.

Kto inny byłby dał za przegranę, ale nasz bohater był uparty jak osioł — postanowił przycisnąć do muru swego przeciwnika.

Tego samego dnia, kiedy wyprawiono karuzel, miał być wielki bal u dworu. Soval był pewnym że zostanie zaproszonym; ale zaproszenia nie otrzymał. Owóż wymyślił nową rzecz: zaproponował, ażeby wysłać deputację do króla z prośbą, żeby pozwolił na balu u siebie wykonać ten sam karuzel pieszo, który na placu wykonano konno. Ponieważ wszyscy towarzysze margrabiego de Soval dostali zaproszenie i bywali u dworu, żeby nie obudzić żadnéj zawiści postanowiono wybrać deputatów losem. Nowy margrabia nie miał szczęścia, los go ominął. Deputacja stanęła w pałacu i wymieniwszy swoje nazwiska i tytuły, była zaraz przyjętą przez króla i wypowiedziała swoją prośbę. Król Nasone zwąchał zaraz pismo nosem i od ręki odpowiedział:

— Wszyscy ci, którzy przez swoje urodzenie mają prawo wejścia do mojego pałacu i do mnie, mogą przybyć dziś wieczór, bądź przebrani, bądź zwyczajnie.

Odpowiedź była jasną, i trafiła do celu. Biedny

---

¹) Znany człowiek, za którego sprawą wyparto z Neapolu Francuzów, a przywrócono rządy królowi Ferdynandowi.

margrabia zrozumiał wreszcie, że nie przeprze króla: — dał zatem za wygraną i zakończył świetny swój żywot w najgłębszém ukryciu.

X.

Lazzaroni i Ojciec Rocco.

Żal i zgroza bierze patrząc na poniżenie religijne w jakie popadły Włochy; szczególniéj lud w Neapolu. Jest to po prostu bałwochwalstwo, przybrane w legendy chrześcijańskie; jest to zupełne przekrzywienie pojęć religijnych, haniebne spodlenie nauki Chrystusa. Ze smutkiem przychodzi nam powiedzieć, że sami duchowni bardzo się do tego przyczyniają swojem nieuctwem i prostactwem.

Widzieliśmy już lazzaronów w życiu publiczném i prywatnem; opisaliśmy ich postępowanie z cudzoziemcami i ze swojemi ziomkami, powiemy teraz kilka słów o ich uczuciu religijnem.

Jesteśmy nad brzegiem morza, przychodzi mnich i siada do łódki.

— Dokąd popłyniemy, ojcze?

— Do Pausilippe, mój synu.

I przewoźnik zaczyna robić wiosłem; ale jest w złym humorze, bo mnich nie płaci za przewóz i ledwie czasami poczęstuje tabaką. Nie zdarzyło się jednak nigdy, żeby mimo tego słusznego powodu do dąsów, przewoźnik nie chciał przewieźć mnicha. Nie długo potem mnich poczuł, że się coś rusza przy jego nogach.

— Co to jest? zapytał się.

— Dziecko. — odpowiedział przewoźnik.

— Twoje?

—Tak powiadają! Na szczęście mamy my inny sposób przekonania się czy to prawda. Chowamy dziecko do pięciu lat. Wtedy bierzemy je z sobą na morze. Kiedy jesteśmy przy Kaprei lub przy zatoce Bajskiéj, rzucamy je w wodę. Jeżeli pływa samo, nie ma najmniejszéj wątpliwości o ojcowstwie; jeżeli tonie, to co innego...

— Wtedy co robicie z dzieckiem?

— A cóż mamy robić? Ponieważ nie jest to wina tego maleństwa, bo się nie prosiło tu na świat, dajemy nurka i wydobywamy je z wody; zanosimy je do domu i dajemy mu jeść. Ale co się tyczy jego edukacji, to zupełnie co innego, to nie należy do nas. Dla tego też mój ojcze, robi się z niego urwis bez Boga i bez sumienia. Kiedy dojdzie do piętnastu lat, kiedy już nic dobrego z niego nie będzie...

— No to co? Dokończ.

— Robimy go mnichem.

Ale trzeba prawdę powiedzieć, że lazzaroni chociaż nie cierpią mnichów w ogólności, niezmiernie kochają i szanują tych, którzy są moralni i umieją im w przystępnych słowach, powiedzieć improwizowane kazanie na ulicy. Do takich rzadkich wyjątków należał ojciec Rocco.

Ojciec Rocco jest daleko popularniejszym w Neapolu niż Bossuet, Fenelon i Flechier we Francyi razem wzięci. Ojciec Rocco miał trzy sposoby przemawiania i przekonywania lazzaronów: — rozumowanie, groźbę i bat. Naprzód wystawiał im w najpiękniejszych kolorach piękność i rozkosze raju. Jeżeli to nie pomagało, to przechodził do drugiego argumentu i opisywał przerażającemi słowy cierpienia i męki piekielne. Jeżeli niebo i piekło nie pomagało, wydobywał z pod reverendy potężną dyscyplinę i zaczął okładać nią wszystkich naokoło siebie. Trzeba było być bardzo zatwardziałym grzesznikiem, żeby się nie dać przekonać temu ostatniemu argumentowi.

Ojciec Rocco przyczynił się głównie do oświetlenia Neapolu. Miasto to, tak jasne teraz od oliwy i gazu, przed pięćdziesięciu laty pogrążone było przez całą noc w grobowéj ciemności. Bogaci kazali sobie świecić latarkami, nie bogaci chodzili za bogatemi, jeżeli im ta sama wypadała droga, reszta osiem-dziesiątych chodziła po ciemku.

W skutku owéj ciemności kradzieże i rozboje były dwa razy większe niż teraz, a dziś są dosyć częste. Owóż pewnego pięknego dnia policja postanowiła oświetlić trzy pryncypalne ulice. Po prawdzie wypadało raczéj oświetlić inne boczne ulice, bo Chiaja, Toledo i Torcella same sobie wystarczały. Ale nie odrazu Kraków zbudowano, a chociaż policja wszędzie i zawsze chce uchodzić za nieomylną, na ten raz przekonała się, że nie jest doskonałą, bo też nie ma doskonałości na tym świecie. Rozwieszono tedy pięćdziesiąt latarni na owych trzech ulicach i zapalono je nie pytając się wcale o to lazzaronów, czy im się to podoba. Nazajutrz nie było już ani jednéj, wszystkie potłuczono.

Ponowiano doświadczenie jeszcze dwa razy i dwa razy jeszcze policja straciła pięćdziesiąt latarń i koszta. Przywołano ojca Rocco i objaśniano go w jakim kłopocie znajduje się policja. Ojciec Rocco podjął się ułagodzić zawziętych niszczycieli, ale położył swoje warunki, na które rząd bez wahania się przystał.

Ojciec Rocco zrozumiał łatwo, że trzeba naprzód oświetlić ulice wązkie i kręte. Wybrał w tym celu za środkowy punkt działania ulicę św. Józefa, która z jednéj strony wychodziła na ulicę Toledo, a z drugiéj na plac Santa-Medina. Kazał nadto na białym murze wymalować obraz św. Józefa. Lazzaroni śledzili za postępującą pracą malarza z widocznem zadowoleniem. Zapomniałem powiedzieć, że każdy lazzaron jest artystą.

Kiedy obraz był ukończony, ojciec Rocco zapalił przed nim jedną świecę. Miał nabożeństwo do św. Józefa, zapalił więc świecę na jego uczczenie, nie było więc nic do powiedzenia przeciwko temu. Zresztą świeca rzucała tak słabe światło, że o dziesięć kroków można było wygodnie okrąść kogo lub zabić.

Nazajutrz ojciec Rocco zapalił drugą świecę, bo rozgorzał szczególnem nabożeństwem do św. Józefa. Ale dwie świece dawały dwa razy mocniejsze światło, lazzaroni uważali, że na ulicy św. Józefa jest już za jasno.

Trzeciego dnia ojciec Rocco zapalił trzecią świecę, lazzaroni zaczęli głośno szemrać. Ojciec Rocco nie zważał nic na ich skargi i czwartego dnia zapalił latarnię. Nikt już nie wątpił o tem, co ma znaczyć ten manewr, to też lazzaroni rozbili latarnię ojca Rocco, jakby to była policyjna latarnia. Ojciec Rocco zapowiedział, że w przyszłą niedzielę będzie miał kazanie o potędze św. Józefa. Było to wielkie święto, kiedy kazał ojciec Rocco, bo kazał rzadko i w ważnych tylko wypadkach. Nie był to abstrakcyjny frazeolog a najpraktyczniejszy faktolog, dla tego to wszyscy biedni i prostaczki rozumieli dobrze jego kazanie i przyjmowali je ze skruchą i przekonaniem.

Jak tylko rozeszła się wieść między lazzaronami, że ojciec Rocco będzie miał kazanie, to w oznaczonéj godzinie nie tylko cały kościół św. Józefa, ale i całe okolenie jego napełniło się. Ci co stali zewnątrz kościoła, nie mogli nic słyszeć, ale rachowali na to że z kościoła przez ustne podanie, dowiedzą się zaraz co mówi ojciec Rocco.

Ojciec Rocco wszedł na ambonę i tak zaczął:

— Moje dzieci! muszę wam naprzód powiedzieć, że ta ja kazałem wymalować św. Józefa, który wam się tak podobał na ulicy jego nazwiska.

— Wiemy o tem, wiemy! zawołali chórem lazzaroni.

Ojciec Rocco nie tak jak inni kaznodzieje, co to z góry i ostro narzucają słuchaczom milczenie i uwagę, lubił wywoływać rozmowę.

— Moje dzieci, trzeba wam jeszcze wiedzieć, że to ja kazałem zapalić świecę przed obrazem św. Józefa.

— Wiemy i o tem!

— Że to ja zawiesiłem przed tym obrazem latarnię.

— Ale dla czego ojciec kazał zapalić latarnię przed św. Józefem, kiedy przed żadnym innym świętym nie palą latarni?

— Bo św. Józef ma daleko większe znaczenie w niebie od wszystkich innych świętych, i dlatego mogąc więcéj uczynić, powinien być więcéj czczonym i szanowanym niż inni.

— A dla czego ma większe znaczenie? — zapytano.

— Jakto? Wy nie wiecie tego? zapytał ojciec Rocco i wzniósł w górę ramiona, czyż zapomnieliście co znaczył na ziemi św. Józef, kiedy Chrystus Pan dla zbawienia świata, przybrał na siebie ludzką postać. A Madonna czemże była dla św. Józefa? Czyż zapomnieliście o tem?

— Prawda, prawda! zaszemrano wkoło i uderzono się w piersi z pokorą, jakby dla przebłagania gniewu Bożego, za tak wielkie niedbalstwo. Ojciec Rocco tymczasem modlił się, a lud coraz bardziéj przejmował się skruchą religijną, wreszcie przycichł i skierował oczy w każącego kapłana.

— Moje dzieci — odezwał się po chwili ojciec Rocco — czy wy wiecie co św. Józef może sprawić? Oto może wprowadzić do nieba tych wszystkich, którzy się modlą do niego.

Zrobił się wielki szmer w kościele i za kościołem. Ojciec Rocco założył na krzyż ręce i czekał aż się słuchacze uciszą, co wkrótce nastąpiło.

— Zdaje mi się że wątpicie? zapytał.

— Hm! Hm!

— Kiedy tak, to czy chcecie, żebym wam powiedział co się przytrafiło, ośm dni temu, Mastrilli?

— Mastrylli, rozbójnikowi?

— Tak jest.

— Który był sądzony w Gaecie?

— Tak.

— I powieszony w Terracino?

— Tak.

— Opowiedz nam, ojcze, opowiedz! zawołali lazzaroni.

— Mastrilla był rozbójnikiem bez czci i wiary, ale się modlił szczerze do św. Józefa. Kiedy go powieszono, udał się prosto do Nieba, ale go św. Piotr puścić nie chciał.

Mastrillo już miał się zwrócić od podwoi niebieskich, kiedy swoim zwyczajem rozpoczął modlitwę do św. Józefa.

— I cóż i cóż? — zapytano widząc, że ojciec Rocco utonął w nabożnem rozmyślaniu. I Mastrilla wprowadził Święty do nieba?

— A jakże, wprowadził odrzekł Ojciec Rocco Owóż pytam się was, czy św. Józef może przestać na jednéj świeczce i czy nie zasługuje na latarnię?

— Wart jest dziesięciu, stu, tysiąca! krzyknęli lazzaroni.

Tego samego wieczoru ojciec Rocco, kazał zapalić dziesięć latarni na ulicy Św. Józefa. Nazajutrz kazał zapalić dwadzieścia na przyległych ulicach, trzeciéj nocy sto, tak idąc coraz daléj, a wszystko za sprawą św. Józefa, Neapol został oświetlony.

(d. c. n.)

Opis N. 43.

N. 1. Ubranie dla chłopczyka od lat 2—4.

Strojne ubranie dla chłopczyka, z szarfą na sposób szkocki przepasaną, składa się



N. 1. Ubranie chłopczyka od 2 do 4 lat.

z sukienki z niebieskiego kaszmiru, ze stanikiem wyciętym i krótkiemi rękawkami, i kaftaniczka niebieskiego aksamitnego. Skośny pas kaszmiru 215 cent. długi a 30 cent. szeroki, ułożony w fałdy 8 cent. głębokie, stanowi spódniczkę, którą przyszywa się do stanika gładkiego. Kaftanik z tyłu rozcięty, z przodu zaokrąglony i na atłasowe guziczki zapięty, przystrojony jest pliskami z niebieskiego atłasu, kokardą z aksamitu i plisowaniem z muślinu. Szarfa skośna z niebieskiego kaszmiru, ma 184 cent. długości 15 cent. szerokości; przewiązuje się ją od prawego ramienia na lewym boku, na luzny węzeł. Majtki krótkie powinny być także muślinowem plisowaniem oszyte.

N. 2. Ubranie dla dziewczynki od lat 4 — 7. Jasno-popieláta wełniana sukienka, przybrana jest riuszą i plisami z wypustką z pąsowego tybetu. Na spódniczce 43 cent. długiéj a 180 cent. u dołu szerokiéj, naszyty jest z przodu fartuszek riuszami 3 i pół cent. szerokiemi, pliską pąsową pół cent. szeroką przedzielonemi. Plisy 2 i pół cent. szerokie, pąsową wypustką objęte, imitują długą, z przodu otwartą tiunikę. Na karoczek oszyty siepaną frendzlą, bierze się kawałek prosty 80 cent. długi, w środku 15 a z brzegów 6 i pół cent. szeroki. Pasek i szarfa są także pąsową wypustką objęte.



N. 3 i 4. Sukienka z karoczkiem dla dziewczynki.

N. 5. Domowe ubranie z materjału w kratkę.

N. 3—4. Stanik z zaokrąglonym karoczkiem dla małych dziewczynek. Obiedwie sukienki są jednym krojem i z jednakowego materjału, cała różnica zachodzi w rodzaju garnirunku. N. 3 z przodu podany, jest z alpagi lila, z plisami z pół atłasu trochę ciemniejszego, wyszytemi jedwabnym sznureczkiem; poniżéj dane plisowanie z alpagi. Układ garnirunku przy staniku, karoczku i krótkich rękawkach, wskazuje rysunek. Takaż sukienka podana z tyłu na rycinie 4, ma spódniczkę u dołu wyciętą w okrągłe zęby, atłasową wypustką objęte. Powyżéj dane 4 pliski z alpagi, jedna na drugą zachodzące, w górze wypustką z atłasu zakończone. Takież zęby jak przy spódniczce dane są przy szelkach 5 cent. szerokich, przy krótkich rękawkach i karoczku. Te ostatnie przykrawa się z kawałka alpagi 40 cent. długiego 12 cent. szerokiego; z przodu do paska, dane są same tylko zęby lub plisowanie. Kokarda atłasem objęta przystraja pasek z tyłu.

N. 5. Ubranie domowe. Suknia wełniana w kratę z dwóch kolorów, oszyta jest plisą aksamitną bez wypustek. Plisa ta ma przy spódnicy 12 cent. przy rękawach 8 centy., a przy staniku z karoczkiem 5 cent. szerokości. Tiunika o jedną trzecią część krótsza od spódnicy, ma brzeg dolny na wewnątrz podwinięty i na tasiemkach podtrzymany żeby zaś w odstępach między tasiemkami brzegi nie opadały, są one wkoło w drobne fałdki ułożone. Karoczek składa się z 4-ch oddzielnych, do paska przyczepionych klapek, które są u dołu proste, z boku ku górze cokolwiek ścięte, a dwie tylne także w środku rozcięte, nieco dłuższe od przednich.



N. 2. Ubranie dziewczynki od lat 4 do 7.

N. 6 — 7. Kołnierzyk szmizetkowy i rękawki z wachlarzowym garnirunkiem. Prosty kawałek muślinu 62 cent długi, a 7 cen. szeroki, składa się we dwoje przez środek i wykrawa w ten sposób tylny ząb kołnierzyka, ażeby zajmował 10 cent. długości i był od brzegu cokolwiek okrągławo podcięty. Od środka tego zęba do środka zębów przednich, powinno być po 22 cen. długości, szerokości zaś w najwęższem miejscu, między zębami 1 i pół centymetra. Wykrój pod szyją jest także nieco zaokrąglony, a końce przednie spiczaste.

Dla lepszego uwydatnienia kroju, kołnierzyk podany jest na rysunku z przodu i z tyłu. Wachlarzowy garnirunek z przodu układa się ze skośnych kawałków mu-



N. 6. Kołnierzyk szmizetkowy. (Przód).



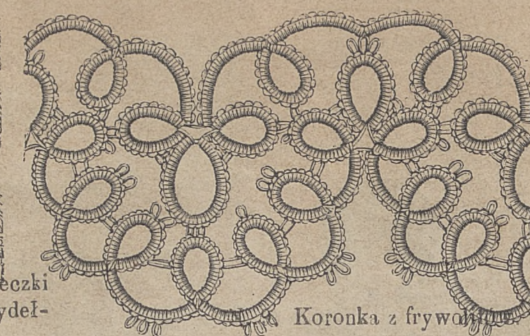
N. 8. Kokarda do kołnierzyka z grenadiuy.



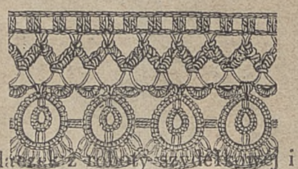
N. 7. Kołnierzyk szmizetkowy (Plecy).

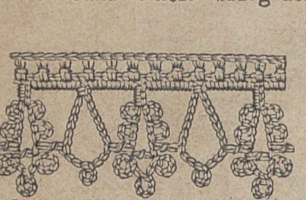
ślinu 22 centym. długich, w szerszym końcu 12, w węższym 6 c. szerokich, oszytych koronką 5 c. szeroką. Ząb tylny ogarnirowany jest także skośnym kawałkiem 20 cent. długim wyciętym w taki sposób, iż brzegi mają 5 i pół cent. szerokości, a środek tylko 2 centymetry. Szeroka koronka otacza brzeg dolny, wązka zaś i aplikacja haftu dopełnia przystrojenie kołnierzyka. Rękawki wązkie są także odpowiednio kołnierzykowi wachlarzowym garnirunkiem ozdobione.

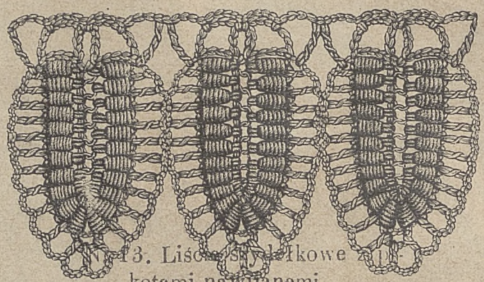

N. 10. Wstawka z plecioneczki „mignardise" i roboty szydełkowéj.


N. 9. Koronka z frywolitek.


N. 11. Wstawka z podwójnéj plecionki i roboty szydełkowéj.


N. 12. Szlaczek z roboty szydełkowéj i frywolitów.


N. 14. Koroneczka szydełkowa z pikotami.


N. 13. Liście szydełkowe z pikotami nawijanemi.


N. 15. Koroneczka z matowych listków.

N. 8. Kokarda do kołnierzyka z grenadiny. Skośny kawałek czarnéj grenadiny, 100 cent. długi, a 14 cent. szeroki wyhaftowany w drobny rzucik jedwabiem czarnym, wązko obrębiony i w końcach koronką 6 cent. szeroką oszyty, stanowi ładną krawatkę, którą zawiązuje się na zręczną kokardę.

N. 9. Szlak z frywolitek. Robota téj koronki bardzo wyraźnie wskazana jest na wzorze; odrobiona z czarnego jedwabiu, użyta być może w miejsce drogiéj pasmanteryj do aksamitu lub materyi czarnéj.

N. 10. Wstawka z plecioneczki mignardise i roboty szydełkowéj. Listki wstawki składają się z 7miu o. l. i dwóch pod. nawijanych sł:, połączonych 1. o: śc. potem znów 5 o. l:, w 3 pikot plecionki mignardise.

N. 11. Wstawka z podwójnéj plecionki: mignardise i roboty szydełkowéj.

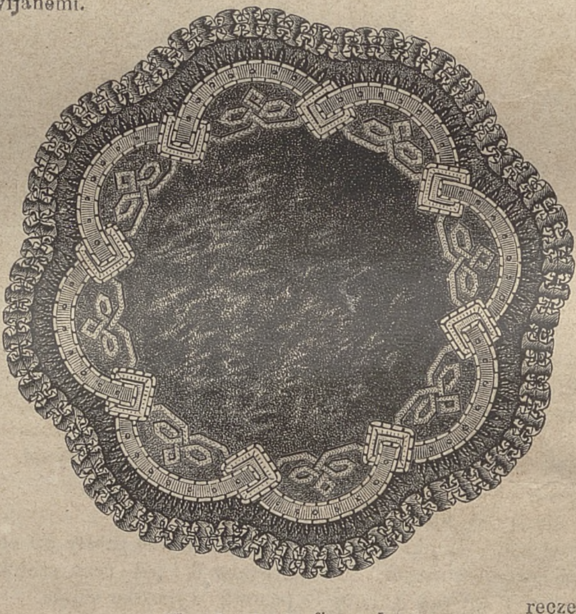
Dwa rzędy listków składają się z pentelek czyli pikotów z luź: o:, przedzielanych 7miu luż. o:, i przyrabianych za średni listek co 3ci pikot plecionki mignardise; rząd górny łączy się z dolnym 5ciu ocz. ścisłemi.

N. 12. Szlaczek z roboty szydełkowéj i plecionki mignardise.

Wśrodku dana jest torsadka robiona na widełkach zakończona w górze słup: szydełkowemi, a u dołu frywolitkami. Liczba pod: węz. i długich pikotów w listkach frywolitowych dokładnie oznaczona jest na wzorze; na węzły podwójne dodane u góry i łączące frywolitki z torsadką, potrzeba jak wiadomo 7em. węzłów pojedynczych.

Dolne pikoty połączone są obrobieniem szydełkowem.


N. 16. Patarafka z haftowanemi kwiatkami. Zobacz rycinę 17.


N. 18. Patarafka z deseniem arabeskowym. Zobacz rycinę 19.

N. 13. Liście szydełkowe z pikotami nawijanemi, mogące służyć jako szlaczek lub aplikacja.

Z czarnego grubego jedwabiu lub kręconéj bawełny białéj czy écru, odrabia się najpierw środkowy rząd nawijanych pikotów okręcając na każdy nitkę 8 razy. Pikoty te jak widzimy, przyrabiają się na dwie strony, do 9ciu oczek lu. łań. a potem jedwabiem lub bawełną znacznie cieńszą obrabiają dokoła, sposobem na wzorze wskazanym. Górne obrobienie dodaje się wzdłuż na końcu.

N. 14. Koroneczka szydełkowa z pikotami. Powyższa koroneczka robi się w poprzek, tylko dwa górne obrobienia dodaje się na końcu w podłuż. Długie spuszczone pentelki, składają się z 18 o. l. i jednego w samym środku dodanego pikotu; w górze łączy je się 1 o. ści, i daje 8 l. o. na przedział. Na figurę ozdobioną w koło pikotami daje się: 2 pi:, każdy z 5 o. l:, połączonych 1 o. ści:, 1 słu: w 4-te, luź: o: poprzedzającéj pentelki, (licząc w górę od środkowego pikotu,) 3 pikoty każdy z 7 o. l:, 1. sł: naprzeciwko poprzedzającego, 2 pi. z 5 o. luź., i 3 o. ści: około l: o. łańcuszka. Potem znów pentelka 1. piko:, którą słupkiem połączyć potrzeba z poprzedzającą figurą. Nakoniec u góry obrabia się o. ści. i drabinką ze słupków raz nawijanych.

N. 15. Koroneczka z matowych listków i nawijanych pikotów. W poprzek robiona koroneczka zaczyna się od: * 25 l. o., z których jedno się opuszcza, w 3 następne robi sposobem tunetańskim i zatrzymuje na szydełku, potem jeszcze 3 razy nabiera się po 3 o: sposobem tunetańskim; pozostawiając zawsze między niemi, 3 opuszczone oczy łańcuszka.

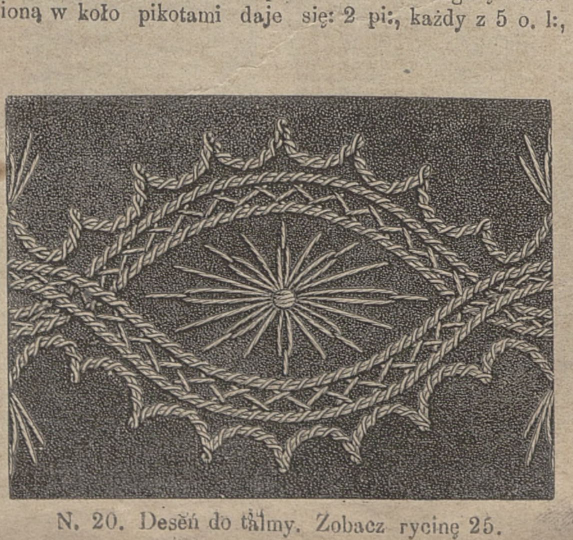
Teraz wszystkie zatrzymane węzły przeciągnąć jedną pentelką i złączyć 1 o: ści; potem następuje 1. p. nawijany 6 razy, 5 o: l. przyro: 1 o: ści., w drugim końcu pikotu, i znów 5 o. l. złączonych przy początku tegoż pikotu. Nareszcie jeszcze 5 o: l: przyrobionych w górny śpiczasty koniec listka, poczem powtórzyć od *. W górze obrobić wzdłuż łańcuszkiem i o. ścisłemi.

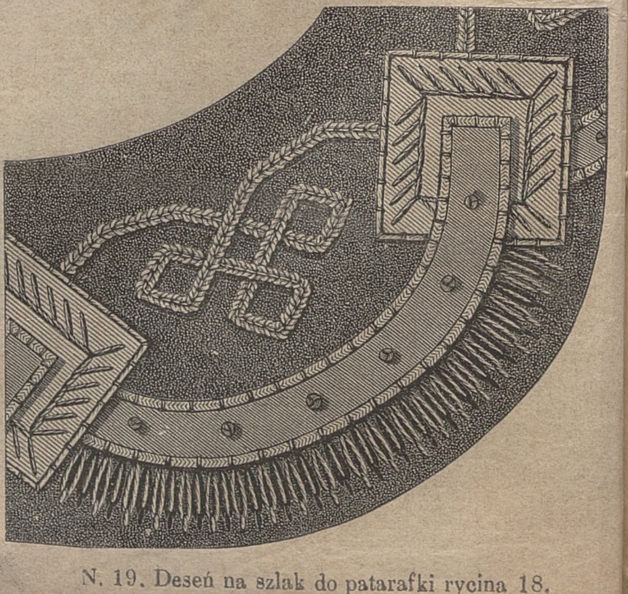
N. 16 — 17. Patarafka z haftowanemi kwiatkami. Materjał: sukno brązowe w dwóch odcieniach, kordonek czarny, ciemno i jasno brązowy, plecionka i sznureczek złoty.

Okrąg z ciemniejszego sukna, mający 27 c: średnicy, wycina się w ząbki. Podług wzoru naturalnéj wielkości ryc. 17, naszywa się na szlaku pojedyncze aplikacje z sukna jaśniejszego, których brzeg jest obwiedziony złotą plecioneczką, przyszytą przez wierzch kordonkiem czarnym. Muszki środkowe odrabia się ciemno brązowym kolorem. Zewnętrzne kontury deseniu, brzegi kwiateczków i listków, są odznaczone złotym sznureczkiem, przyszytym kordonkiem czarnym. Kwiatki i listki są haftowane kordonkiem w dwóch cieniach, a długie łańcuszkowe ściegi, ząbki i ściegi przewłóczone, kolorem jaśniejszym.

N. 18 — 19. Patarafka w deseń arabeskowy. Materjał: sukno wiśniowe, srebrno popielate i białe; wiśniowo okręcony sutasz, kordonek czarny, ciemno i jasny wiśniowy, złota plecioneczka, takiż grubszy i cieńszy sznureczek.

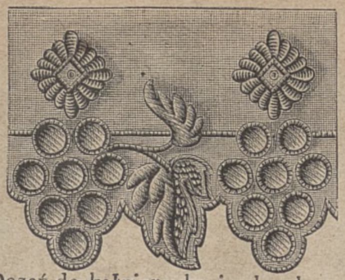

N. 17. Szlak do patarafki. Zobacz rycinę 16.


N. 20. Deseń do tálmy. Zobacz rycinę 25.

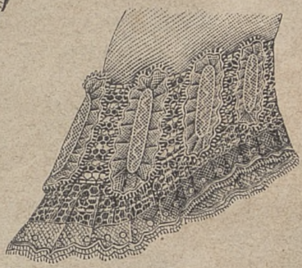

N. 19. Deseń na szlak do patarafki rycina 18.



N. 21. Deseń do wyszycia patarafki, ławeczki pod nogi itd.



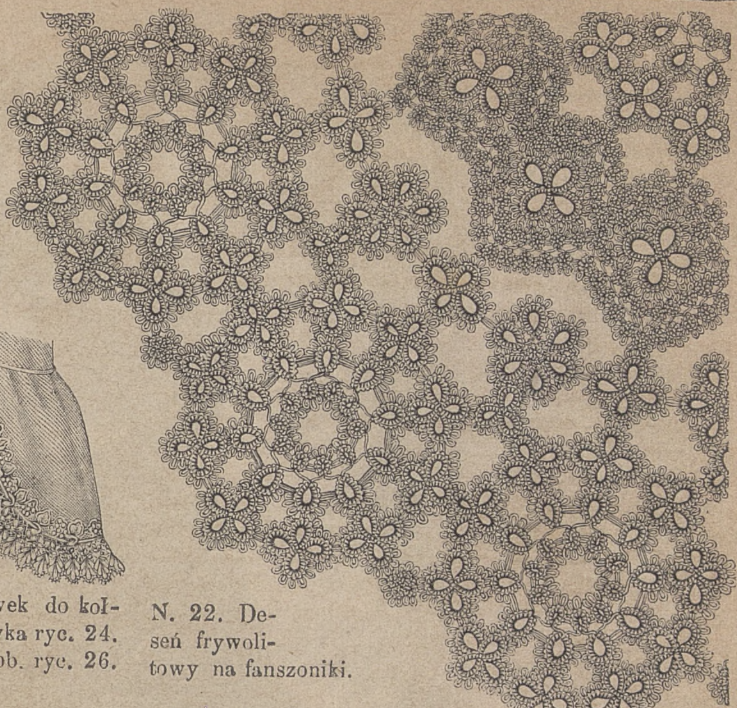
26. Deseń do kołnierzyka i rękawka ryc. 24 i 25.



N. 23. Rękawek szeroki do kołnierzyka ryc. 27.



N. 25. Rękawek do kołnierzyka ryc. 24. Zob. ryc. 26.



N. 22. Deseń frywolitowy na fanszoniki.

W łuk wygięte pasy aplikacyi, wykrawa się z sukna srebrno popielatego, podług wzoru ryc. 19., brzegi tych figur przymocowane są do tła wiśniowego, plecionką złotą, kordonkiem czarnym przyszytą; supełki na środku robi się kordonkiem jasno wiśniowym. Pod końce łuków poddaje się kwadraty sukna białego, których wielkość i sposób przyszycia wskazuje rycina 19.

Kwadraty te otoczone są sznurkiem grubszym złotym, który także przyszyty jest kordonkiem czarnym, wyszycie zaś na kwadracie dane kolorem wiśniowym. Deseń arabeskowy układa się z sutaszu i przyczepia pojedynczemi ściegami cieniutkiego złotego sznureczka. Frendzla z długich łańcuszkowych ściegów, robi się naprzemian kolorem ciemno i jasno wiśniowym. Brzeg patarafki wycięty jest w płaskookrągłe zęby i oszyty riuszą ze wstążeczki koloru tła patarafki.

N. 20. Szlak do wyszycia talmy. Rycina 31.

N. 21. Deseń na patarafkę, poduszkę lub stołeczek pod nogi. Podany deseń zarówno służyć może jako wzór do malowania na drzewie, lub też jako aplikacja na tiul, muślin, sukno itd.

N. 21. stanowi 1/4 część koła.



N. 23. Czepeczek wizytowy.



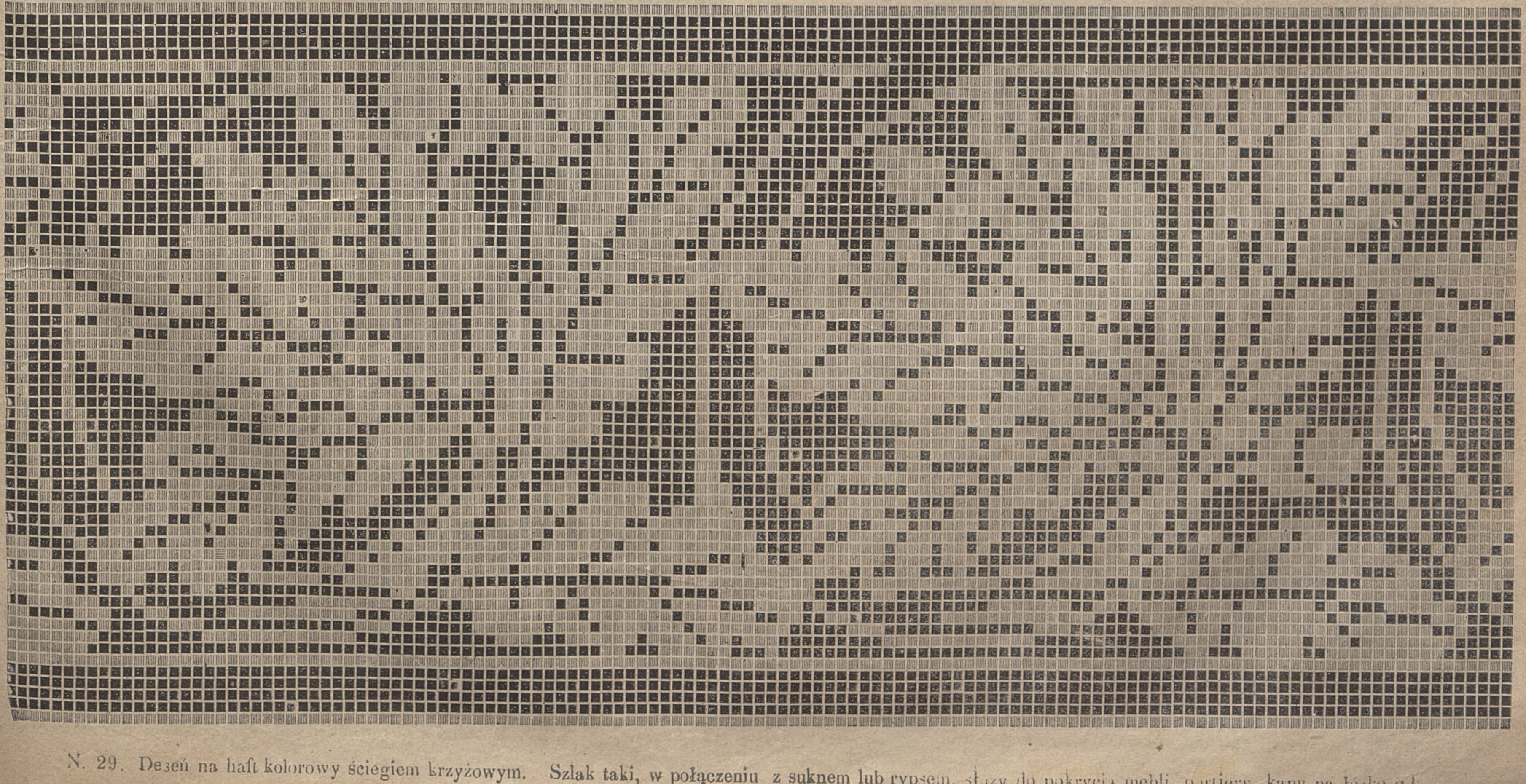
N. 27. Kołnierz szmizetkowy z tiulu i koronki. Zobacz rycinę 28.



N. 24. Kołnierzyk szmizetkowy z muślinu, koronki i aplikacji. Zob. rycinę 25 i 26.

N. 22. Robota frywolitowa na dno do czepka, lub na fanszonik. Podług powyższej próbki odrobić można dno frywolitkowe, z czarnego cieniutkiego jedwabiu, albo białej bawełny. Sam środek stanowi rozeta, na którą jako rząd 1szy daje się: * 1 na wewnątrz obrócony listek z 3 pod. wę. 5 pi. przedzielanych 2 pod. wę. i 3 pod. wę. na zewnątrz, listek jeden z 4 po. wę. 9ciu pik. przedzielanych 1 pod. wę, i znów 4 pod. wę. Powtórzyć od * razy 11, łącząc ze sobą listki za pikotami. 2gi rząd stanowi 12 cztero-listnych gwiazdek, na każdy listek potrzeba 6. pod. wę. 7 piko. przedzielanych 2 pod. wę: 6 pod. węzełków. Pojedyncze gwiazdki łączą się z rozetą środkową i między sobą pikotami.

Drugie 12 takichże samych pojedynczych gwiazdek, otoczone i połączone szlaczkiem z drobnych listków stanowią rząd 3ci. Listki te układające się w zęby z obydwóch stron gwiazd, robią się jednym ciągiem, przyczem zawsze jeden listek obraca się na zewnątrz, drugi na wewnątrz. Na każdy zaś potrzeba 2 pod. węz., 5 pik. przedz. i 2 pod. węzełki. Dla nadania szlaczkowi formy zębów, robi się w każdem zagłębieniu 2 listki przy sobie obrócone na wewnątrz, zaś na zaokrągleniu środkowem, 2 listki na zewnątrz. W rzędzie 4-m cztero listne gwiazdki dawane są naprzemian z sześciolistnemi; te ostatnie składają się ze środkowego kółka na które daje się 6 pikotów przedzielanych 2 pod. węz. i ze sześciu listków przyrobionych do tychże pikotów. Każdy zaś listek ma 4 pod. wę. 9 pik. przedziel. 2 pod. węz. i 4 pod. węzełki. Rząd ostatni złożony jest z 12 takich rozet jak środkowa, połączonych z sobą pikotami. Dla lepszego połączenia tego rzędu z poprzedzającym, pomiędzy rozetami znajdują się listki koniczyny, łączące je z sześcio-listnemi gwiazd-



N. 29. Deseń na haft kolorowy ściegiem krzyżowym. Szlak taki, w połączeniu z suknem lub rypsem, służy do pokrycia mebli, portjery, kapy na łóżko itd.

kami. Wiązanie za pikoty i łączenie pojedynczych części wskazuje dokładnie rycina.

N. 23. Czepeczek strojny z dnem z frywolitek. Do czółka z drucika i sztywnego tiulu, przypięty jest woalik z frywolitek prosto połączony i mający 20 centym. długości, 14 centym. szerokości. Nad czołem upięte kolorowe wstążki, z długo spadającemi z boków końcami i gałązką rózy. Frywolitki mogą być z czarnego jedwabiu lub białéj bawełny w każdym jednak razie muszą być bardzo cienkie, ażeby dobrze naśladowały koronkę. Denko to składa się z 3 klarownych i 2 znacznie gęściejszych pasów, dawanych na przemian. Dwa gęste pasy mogą być podług rzędu drugiego ryciny 22 odrobione, zapełniając próżnię między zębami, listkami koniczyny. Na gwiazdy przezroczyste łatwo dobrać wzór odpowiedni między licznie podawanemi w Tygodniku.



N. 30. Talma z obłożeniem w pasy i frendzlą sznelową. (Przód).

N. 31. Talma ze szlakiem haftowanym. (Plecy). Zobacz rycinę 20.

długości, 3 cent. szerokości z tyłu, a w przednich końcach do 7 cent. rozszerzony, zeszywa się z pasków marszczonego tiulu, przedzielanych wstawką koronkową lub haftowaną 2 cent. szeroką wkoło, jak to wzór wskazuje, marszczoną koronką oszytą. Wykrój pod szyją węższą, dolny brzeg kołnierzyka szerszą marszczoną koronką jest oszyty. Piękna kolorowa kokarda spina końce kołnierzyka.

Rękawek 52 cent. szeroki, w środku 7, a przy zeszyciu 5 cent. długi, składa się także z pasków marszczonego tiulu i wstawek; te ostatnie jak to widzimy na rysunku, są dłuższe w środku a krótsze przy zeszyciu. Falbana tiulowa 3 i pół cent. szeroka koronką oszyta, stanowi garnirunek rękawka.

Dalszy ciąg opisu dodatku N. 43 nastąpi w dodatku N. 44 Tygodnika Mód.

N. 24—26. Kołnierzyk chusteczkowy z muślinu, koronki i aplikacji, oraz odpowiedni szeroki rękaw.

Okrągławo przykrojony kołnierzyk, składa się z dwóch w środku zeszytych części, które z tyłu mieć powinny 2½ centy. szerokości, ku przodowi, zaokrąglone i rozszerzone do 4 cent., ku końcom przednim znów do 2 centym. zwężone i napowrót rozszerzone do 5 i pół centymetrów. Długość jednéj połowy trzyma około 42 centym. Wzór aplikacji haftu podaje ryc. 26. Dolny brzeg i końce oszyte są szeroką koronką „bruges“ górny wykrój zakończony aplikacją haftu. Falbana rękawka odpowiednio chusteczce przystrojona aplikacją i koronką, ma [illegible] cent. szerokości, [illegible] centym. długości w środku, 5 cent. w podcięciu, a 7 cent. przy zeszyciu.

N. 27—28. Szmizetkowy tiulowy kołnierzyk i odpowiedni rękawek. Kołnierzyk ten mający 62 centym.



N. 32. Kostium z falbanami w dwóch kolorach do cieniu.



N. 33. Kostium z plisowanym wolantem i aksamitnem naszyciem.